

ENOLA HOLMES

NANCY SPRINGER

SPRAWA SZYFRU NA KRYNOLINIE

Gdybym miała córkę, czytałabym jej opanieści o Enoli Holmes od kołyszki!

- JUSTYNA DZBIK-KLUGE -

TOM - 5 -



 **Poradnia K**

NANCY SPRINGER

ENOLA
HOLMES

SPRAWA
SZYFRU NA
KRYNOLINIE

PRZETŁUMACZYŁA ELŻBIETA GAŁĄZKA-SALAMON



Poradnia K

Dla mojej matki

N.S.

SCUTARI, TURCJA 1855

(Osoby o słabych nerwach mogą przejść od razu do rozdziału pierwszego)

Na górującym ponad portem wzgórz stoi wielki kwadratowy budynek, w którym mieściły się kiedyś koszary tureckiej armii, a w którym dziś można zobaczyć piekło na ziemi. Fetor rozdętych trupów – krowich, końskich, ludzkich – unoszących się na falach morza jest niczym w porównaniu ze smrodem bijącym z wnętrza tego murowanego czworoboku. Na kamiennych posadzkach ułożono ciasno rannych, chorych i konających mężczyzn, głównie młodych brytyjskich żołnierzy. Dla wielu z nich zabrakło słomy na posłanie czy koca na okrycie. Ale akurat w tym piekle na ziemi panuje względny spokój, pacjenci są bowiem tak zrozpaczeni, bezbronni i słabi, że cierpią w niemal całkowitej ciszy, by umierać potem tysiącami wskutek infekcji, gangreny lub epidemii cholery.

Pośród leżących bez czucia i z małą nadzieją na dożycie kolejnego poranka znalazł się młodzieniec mający zaledwie dwadzieścia lat. Obok przykucnęła przerażona dziewczyna, jeszcze młodsza niż on – jego poślubiona przed niespełna rokiem żona, która trafiła wraz z nim do tego przerażającego miejsca. Większość żon przybyła tu w ślad za towarzyszami życia i wlekła się potem za oddziałami z niemowlętami w ramionach. Wojakom nie stworzono bowiem możliwości przesyłania żołdu do kraju, skazując pozostawione tam kobiety na przymieranie głodem.

Wiele z nich głoduje i tutaj.

Wpatrzona w umierającego męża dziewczyna cierpi w rozedrganej i cichej atmosferze rozpacz, tak charakterystycznej dla Scutari, a ponieważ napatrzyła się już na śmierć, ma świadomość, że kres jej własnych dni może być równie bliski. Brakuje jej odwagi, by uwierzyć, że nowe życie, które nosi w swoim wynędzniałym ciele, może mieć szansę na przetrwanie.

Trochę dalej kobieta w bezkształtnym szarym kitlu i czepku na głowie przemywa oczy innemu pacjentowi, usuwając z nich zaschniętą ropę. Zespół oddanych pacjentom pielęgniarek, które przybyły niedawno z Anglii, zdołał w niewielkim stopniu poprawić warunki panujące w Scutari. Kobiety szorują zapaskudzoną podłogę, myją pokryte brudem męskie ciała, wyparzają zauszne koce we wrzątku. Żołnierzowi o ropiejących oczach grozi wprawdzie utrata wzroku, lecz może się uważać za szczęściarza, ponieważ mniej niż połowa podopiecznych lazaretu Scutari dożywa wypisu.

– Staraj się nie dotykać teraz powiek – tłumaczy mu pielęgniarka – choćby cię bardzo korciło, nie wcieraj sobie w oczy tego plugastwa.

W labiryncie korytarzy, liczących łącznie osiem mil, pojawia się inna pielęgniarka, szczupła kobieta o arystokratycznych rysach twarzy. Niesie w dłoniach lampę, ponieważ zbliża się pora zmierzchu. Jej pociągła twarz olśniewa symetrią rysów, jednocześnie tchnie słodyczą i spokojem. Włosy, przedzielone pośrodku idealnym przedziałkiem i nakryte zawiązanym pod brodą koronkowym czepkiem, spływają na ramiona jak dwa brązowe skrzydła. Kobieta kroczy powoli, przystając co chwilę przy posłaniu któregoś z pacjentów, by przemówić cichym i melodyjnym głosem:

– List do twojej matki został wysłany, Higgins... Nie ma za co, to nic takiego.

– Czy coś dziś jadłeś, O'Reilly? – pyta. – Świetnie. Jutro załatwię ci koc.

– Czy użyłeś świeżej gąbki, Walters? – zwraca się do innego pacjenta.

Zatrzymuje się przy siostrze zajętej pielęgnacją ślepnącego żołnierza.

– Doskonale – komentuje. – A teraz wracaj do kwatery, robi się ciemno.

Pielęgniarka znika, a dama z lampą idzie dalej, by przystanąć obok rozdygotanej dziewczyny siedzącej na ziemi u boku nieprzytomnego męża. Przyjrzawszy się mu, dama odstawia lampę, przykłęka na zimnej kamiennej posadzce, układa obnażone sine stopy rannego na własnych kolanach i zaczyna je energicznie masować, by je choć trochę rozgrzać.

– Tylko w ten sposób mogę mu pomóc – mówi do dziewczyny, która siedzi obok w milczeniu, z oczami rozszerzonymi strachem. – A na ciebie już czas, moje dziecko. Możesz tu wrócić jutro rano.

Wymizerowana młoda żona obrzuca ją niemym, błagalnym spojrzeniem.

Kobieta odpowiada na nie tak, jakby usłyszała wyrażoną w słowach prośbę.

– Wiem, że chciałabyś przy nim zostać, dziecko, ale obowiązuje tu zasada, że w nocy na oddziale

nie może być żadnych kobiet. Jeśli złamiemy zakaz, wojskowi oddelegują nas do kuchni albo, gorzej, każą wracać do Anglii. – Mówi to spokojnie, ani na chwilę nie podnosząc głosu. W jej szczupłej twarzy nie sposób dojrzeć śladów zmęczenia, niechęci czy frustracji. Mimo grozy wypowiedzianych słów kobieta zachowuje anielski spokój: – Gdyby tak się stało, nieszczęśnicy zostaną pozbawieni jakiegokolwiek opieki, nawet za dnia. Więc musimy opuścić lazaret. Rozumiemy się?

Zakłada, że dziewczyna ją słyszy, i dochodzi do wniosku, że jej słowa spotkały się ze zrozumieniem. Ta pozostaje w bezruchu. W jej oczach nie widać buntu, jedynie pełne rozpaczy znużenie.

– Chodźmy. – Ułożywszy stopy konającego z powrotem na posadzce, starsza z kobiet podnosi lampę i wstaje. – Pójdziemy razem, oświetlę ci drogę. – Wyciąga do dziewczyny wolną rękę.

Młoda mężatka reaguje na kojący, pełen ciepła uścisk. Kobieta z lampą pomaga jej się podnieść. Przez chwilę obie stoją w bezruchu nad – chyba należałoby użyć tego słowa – ciałem.

Dziewczyna trzy razy rozchyła cienkie wargi, zanim szybko i jękliwie wyrzuci z siebie bezradne i niepotrzebne słowa:

– On jest moim mężem.

– Wiem, kochanie, ale i tak nie możesz...

– To dobry człowiek – ciągnie dziewczyna, najwyraźniej nie słysząc słów zakazu. – Nosi nazwisko Tupper. Thomas Tupper. Ktoś powinien o tym wiedzieć oprócz mnie.

– Ależ oczywiście – uspokaja ją dama z lampą. Ci, którzy przeżyją pobyt w Scutari, będą później wspominać kojące brzmienie jej cichego głosu. – Ale teraz czas stąd iść, pani Thomasowo Tupper.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Panno Meshle – powiedziała pani Tupper, odbierając ode mnie pusty talerz – gdyby miała panna wolną chwilę na pogaduszki...

Zanim moja starszawa, głucha jak pień gospodyni zdążyła dokończyć, poczułam przyływ niezwykłego zainteresowania. Nie dość, że zwróciła się do mnie cichym i stłumionym głosem, zamiast – jak to miała w zwyczaju – wykrzyknąć swoją kwestię, to jeszcze ni stąd, ni zowąd objawiła nagłą chęć nawiązania rozmowy. Prośba o „pogaduszki” była dla mnie całkowitym zaskoczeniem. Na ogół pod koniec niewymyślnej kolacji (dziś – ponieważ zaczął się sezon na dymkę – uraczyła mnie zupą ryбно-cebulową i leguminą z chleba) kiwałam jej w podzięcie głową i udawałam się do swojego pokoju, gdzie mogłam się wypłatać ze wszystkich bufek, ozdóbek i rozmaitych wypełniaczy składających się na „pannę Meshle”. Potem, lekka jak piórko, mogłam się zapaść w miękki fotel i oparłszy stopy na podnóżku, oddać się błogiemu lenistwu.

– Chciałabym zasięgnąć porady – ciągnęła pani Tupper. Odstawiła bezceremonialnie białą fajansową wazę na piec jak pierwszy lepszy garnek, a zaraz potem wrzuciła zeszkrobane resztki puddingu do pomyj zamiast do kocięj miseczki.

Umierałam z ciekawości, żeby się dowiedzieć, co ją trapi, więc skinęłam głową i poświadczyłam gestem dłoni pełną gotowość wysłuchania dalszego ciągu.

– Usiądźmy – zaproponowała pani Tupper.

Wprawdzie od dłuższego czasu siedziałam przy stole, jednak podniosłam się, by przejść do skromniutkiej „części salonowej” mieszczącej się na parterze. Dom pani Tupper, choć czyściutki, był niewiele więcej niż prostą chatynką. Zająłam miejsce na krześle, pani Tupper zaś przysiadła na brzeжку wypchanej końskim włosiem sofy i wbiła we mnie świdrujące spojrzenie wodnistych szarych oczek.

– Nic mi do tego, ale zauważyłam, że panna wcale nie jest taką cichą wodą – stwierdziła, jakby usprawiedliwiając fakt, że zwierza się tak młodej osobie. – Zdaje się, że panna udaje tylko skromną, pracującą młodą kobietę. Bywa, że zmienia się panna a to w żebraczkę, a to w szlachetnie urodzoną damę. Czasem też zadaje sobie panna mnóstwo trudu, żeby wyjść na miasto w przebraniu zakonnicy...

Słowa te wprawiły mnie w popłoch, czego nawet nie próbowałam ukryć. Moja gospodyni miała o tym wszystkim nie wiedzieć. Gdyby choć echo jej spostrzeżeń dotarło do moich braci, Mycrofta i Sherlocka, natychmiast ustaliliby mój adres na londyńskim East Endzie, a moja wolność zostałaby poważnie zagrożona.

Pani Tupper jednakże zdawała się nie dostrzegać mej konsternacji i mówiła dalej:

– ...pod osłoną nocy, żeby pomagać biedakom, którzy marzną i przymierają głodem. Skąd panna ma na to środki, licha raczy wiedzieć. – Przyjrzała mi się badawczo, zadzierając głowę, ponieważ nigdy nie grzeszyła wysokim wzrostem, a wdowi garb dodatkowo ujmował jej cali, po czym dodała: – Bardzo dobra z pani osóbką, panno Meshle, czy jak tam się panna naprawdę nazywa.

– Enola Holmes – wyszeptalam odruchowo. Na szczęście nie było możliwości, żeby moja gospodyni mogła to usłyszeć. Pocziwina ciągnęła swój wywód, nie zorientowawszy się nawet, co powiedziałam.

– I widać, że nie da sobie panna w kaszę dmuchać, więc mam nadzieję, że mi panna pomoże.

Jakże często ona sama spieszyła mi z pomocą, sprawując nade mną opiekę, kiedy dopadały mnie przeziębienie albo gorączka! Zdarzyło się nawet, że opatrywała mi rany zadane przez napastnika z garotą. Tak, mogę śmiało powiedzieć, że ta zacna kobieta mi matkowała. Wprawdzie nie było mi dane poznać, czym jest serdeczna troska prawdziwej matki, jednak wiem, że pani Tupper – pilnująca, bym zjadła na śniadanie kaszankę, i podnosząca mnie na duchu podczas moich napadów melancholii – z całą pewnością zachowywała się jak na rodzicielkę przystało. Oczywiście, że chciałam jej pomóc.

– Wielkie nieba! – zakrzyknęłam, wychylając się w jej stronę. – Cóż się stało?

Kobiecina pogrzebała w kieszeni fartucha, by po chwili wydobyć z niej list (dostarczony, jak się domyślałam, poranną pocztą), po czym wyciągnęła go w moją stronę. Kiwając głową i gestykulując zamasyście, jakbym to ja była dotknięta głuchotą, ponaglała mnie, bym otworzyła kopertę i zapoznała się z jej zawartością.

Za oknem (z którego pani Tupper była bardzo dumna, jako że otwory okienne były obłożone podatkiem) światło dzienne zaczynało już szarzeć, jednak zapisane czarnym tuszem litery wiadomości aż biły w oczy. Nigdy w życiu nie widziałam tak napastliwie skreślonych słów. Duże litery były kanciaste i ostro zakończone, jakby ktoś zamiast pióra posłużył się bronią. Każda smuga tuszu przypominała z jednego końca maczugę, a z drugiego rapier. Tekst zaś brzmiał następująco:

GOŁĘBIU POCZTOWY, DOSTARCZ NATYCHMIAST WIADOMOŚĆ OD PTASIEGO MÓZDŻKU ALBO POŻAŁUJESZ, ŻE OPUŚCIŁAŚ KIEDYŚ SCUTARI!

Scutari? Przeczytałam treść pisma dwukrotnie i wydała mi się pozbawiona sensu, pomijawszy fakt, że zawierała groźbę. Sam tekst budził niepokój, jednak jeszcze bardziej przerażająca była widoczna furia, z jaką autor przelał słowa na papier.

– Czy rozpoznaje pani charakter pisma? – spytałam.

– He? – Pani Tupper przyłożyła do ucha trąbkę.

Wrzasnęłam prosto w jej wylot:

– Czy rozpoznaje pani charakter pisma?

Zadałam to pytanie, domyślając się odpowiedzi. Gdyby anonimowy nadawca czuł, że może zostać zidentyfikowany, starałby się zmienić kształt liter albo powycinałby je z gazet i nakleił, jak to czynili złoczyńcy w podrzędnych powieściadłach.

– Że jak? Czy znałam tego, co pisał? Niby skąd?

Niech to licha porwie. W takich chwilach zawsze żałowałam, że nie mogę jej podsunąć kartki z zapisanym pytaniem. Jednak, jak większość prostych ludzi, pani Tupper ledwo zdołałaby przesyłabizować tekst, nic z niego nie rozumiejąc.

– Charakter pisma! – podjęłam kolejną próbę.

– W życiu takiego nie widziałam. Przecież bym zapamiętała takie nastroszone kulfony. – Zatrzepotała rękoma, dając wyraz przestraszowi i zdziwieniu. – Myślę, że wziął mnie za kogoś innego.

– Możliwe. – Powiedziałam to bez przekonania, ponieważ nazwisko Tupper nie należało do pospolitych. Ba, nie znałam poza moją gospodynią nikogo, kto by je nosił. Ale przecież odziedziczyła je po nieżyjącym od lat mężu, który być może miał w Londynie jakichś krewnych. – Czy pan Tupper miał rodzinę?

– He? – Trąbka znów powędrowała w stronę ucha.

– Pan Tupper! – ryknęłam.

– Umarł w Scutari. – Moja gospodyni skuliła się i objęła ramionami, jakby w ciepło majowego wieczoru wdarł się nagle chłodny przeciąg. – Mija już prawie trzydzieści pięć lat, ale nigdy tego nie zapomnę. Okropne miejsce. Jakby piekło zstąpiło na ziemię.

Moje plecy przywarły z powrotem do oparcia niewygodnego krzesła. Zamilkłam, złorzeczając w duchu na własną niedomyślność. Scutari. No jasne. Kwatera Brytyjczyków stacjonujących w Turcji podczas wojny krymskiej.

Postanowiłam się upewnić.

– Czy pan Tupper służył w wojsku? – spytałam.

– He?

Oszczędzę łaskawemu czytelnikowi dalszego ciągu i streszczę pokrótce to, co mi wdowa po panu Tupperze relacjonowała przez kilka kolejnych godzin w wyjątkowo chaotyczny sposób. Trudno się jej dziwić – bądź co bądź był to jeden z najbardziej pogmatwanych konfliktów zbrojnych, jakie zrodziła głupota ludzka. Anglia i Francja Napoleona III weszły w nieoczekiwany sojusz, by u boku pogańskiej Turcji zewrzeć szyki przeciwko słabnącej w szybkim tempie Rosji. Przekonanie: „Nie wolno racji dochodzić, Ni stawiać pytań zbędnych; Tylko słuchać i ginąć”^[1] posłało tysiące żołnierzy pod grad pocisków w imię walki o zapomniany przez Boga półwysep na Morzu Czarnym zwany Krymem, zamieszkiwany głównie przez wszy wielkości pajaków, wielkie, tłuste i skoczne pchły oraz szczury tak potężnych rozmiarów, że teriery uciekały na ich widok w popłochu.

Tymczasem pan Tupper (jak wyjaśniła mi pani Tupper) trafił na Krym z chęci zysku, jako markietan, czyli handlarz wędrowny. Wiele z wysyłanych w oficjalnych dostawach towarów ginęło w drodze na front, ponieważ rozkradali je nieuczciwi pośrednicy. Zwietrywszy łatwy pieniądz,

młodzieniec ruszył w podróż, zabierając ze sobą świeżo poślubioną żonę. Oboje byli jeszcze niemal dziećmi. Obserwowali przedtem żony oficerów opuszczające kraj w towarzystwie służby, jadące powozami pełnymi sreber i pościeli, jakby wyjazd na wojnę był wypadem na wieś. Za wojskiem ciągnęły tysiące kobiet, od markietanek po siostry miłosierdzia. Żadna z nich nie przeczuwała, że wkrótce podzieli los mężczyzn i straci życie.

Tyle że żołnierze nie padali na polu walki, lecz wskutek chorób.

– Zmogła go krymska febra – tłumaczyła mi pani Tupper. – Mój Thomas leżał bez przytomności, a z uszu, oczu, ust i nosa ciekła mu krew. Chciałam mu pomóc i opłacałam kilku miejscowych żebraków, żeby załadowali go na wóz zaprzężony w woły, a potem zawiozłam go do wielkiego lazaretu w Scutari. – Potrząsnęła smętnie głową na wspomnienie własnej naiwności. – Myślałam, że może doctory i pielęgniarce postawią go na nogi. Mówili, że właśnie przyjechał tam nowy transport pielęgniarek z Anglii.

Jak się później dowiedziałam, pielęgniarki podporządkowano wojskowym chirurgom, którzy nie tylko traktowali je jak wścibskie baby w męskim świecie, ale też podejrzewali, że kobiety hołdujące głupiutkim wyobrażeniom na temat opieki nad rannymi wojakami zostały przysłane do Turcji za sprawą cywilnych spiskowców w celu zdyskredytowania umiejętności lekarzy. Armia nałożyła na te naprzykrzające się panie niezliczone ograniczenia. Przykładowo, w imię dobrych obyczajów kobietom nie wolno było przebywać w szpitalu po zmierzchu.

Każdego ranka musiały więc wnosić zwłoki tych, którzy zmarli poprzedniej nocy.

W tym także pana Tuppera.

– Oporządziłam go trochę, zaszyłam w pled, a oni wrzucili go do jednego dołu z trzydziestoma innymi, którzy oddali tej nocy ducha – powiedziała pani Tupper, by zaraz potem wyjaśnić, że cały ich dobytek, to jest towary jej męża, namiot, konie pociągowe, rozplął się w powietrzu rozdrapany przez hieny wojenne.

Pozostawiona bez środków umożliwiających jej powrót do Anglii, dołączyła do podobnych sobie istot strąconych na samo dno piekła, jakim było Scutari. Pod dawnymi koszarami, w których ulokowano szpital, wił się labirynt podziemnych korytarzy. Tam pani Tupper znalazła schronienie u boku innych wdów, osieroconych dzieci, porzuconych przez rodziny kalekich starych wieśniaków i różnego autoramentu nędzarzy, których grono właśnie powiększyła.

– Sama też niedomagałam, nie powiem.

Jednakże zamiast rozwinąć tę jakże interesującą myśl, pani Tupper podniosła się, by zapalić kilka świec. Pokręciwszy się po pokoju (a było to dla kogoś w jej wieku sporym wyzwaniem, liczyła sobie bowiem dobrze ponad pięćdziesiąt wiosen!), podeszła do komody i otworzyła stojącą na honorowym miejscu rzeźbioną drewnianą szkatułkę, która już od dawna mnie intrygowała. Wyciągnęła z niej wyblakłą fotografię i podeszła do mnie, by mi ją pokazać.

– Zdjęli pana Tuppera i mnie w dniu naszego ślubu – oznajmiła, kiedy przyglądałam się dwojgu upozowanym młodym ludziom w cudacznych strojach z połowy stulecia.

Chłopak miał pod brodą zawiązany na kokardę halsztuk, spódnica dziewczyny rozpięta była na konstrukcji z obręczy zwanej krynoliną, przypominającej odwróconą miskę. Moja poczciwa gospodyni przestroiła się od razu na rzewny ton wspomnień, zapominając o przerażającym liście, który skłonił ją do zwierzeń.

Spróbowałam przekierować tok jej myśli na złowieszcze czarne pismo, wrzeszcząc w czasie trąbki:

– Co ma pani dostarczyć? Jaką wiadomość? Komu?

– A ja wiem? – Klapnęła ponownie na sofę i opłotła się chudymi ramionami. – Myślę i myślę, i po prostu nie wiem! Ale straciłam wtedy dziecko i w ogóle, więc mogłam zapomnieć.

Opanowało mnie dziwne, przyprawiające o zawrót głowy wrażenie, że świat stanął na głowie. Zaniemówiłam. Nie potrafiłam sobie tego wyobrazić... Moja kochana stara gospodyni, która całymi dniami pichciła ogony wołowe i ozdabiała poszewki szydełkowymi koronkami, odbyła w czasach młodości podróż do barbarzyńskiego kraju, straciła męża, a potem „sama niedomagała”.

Pani Tupper najwyraźniej zauważyła malującą się na mojej twarzy dezorientację.

– Urodziło się martwe – wyjaśniła. – I nie dziwota, bo sama byłam na wpół zagłodzona. Chodziłam w łachmanach, nie miałam tam w podziemiach żadnego pośłania, a zresztą spać się i tak nie dało, bo szczury zaraz podgryzały palce. – Skuliła się, oplotła mocniej ramionami i zaczęła się kołysać w przód i w tył. – Miejsce z piekła rodem. Ludziska popadali w wariactwo. Jeden taki zabrał moje maleństwo i cisnął w morskie fale. Byłam pewna, że i ja tam szczenę z nędzy i żalości. Było mi już wszystko jedno.

– Jak się pani stamtąd wyrwała? – wyszeptałam.

Tym razem nie musiałam podnosić głosu, ponieważ moja gospodyni doskonale zrozumiała, o co pytam. Może wyczytała to z wyrazu mojej twarzy, może z ruchu warg.

– Była wśród pielęgniarek pewna angielska dama – powiedziała. – Dziwne, przez tyle lat w ogóle o niej nie myślałam. A była już wtedy bardzo znana, żołnierze nazywali ją Damą z Lampą. Dzień w dzień niańczyła setki rannych niczym matka. Jak i dlaczego znalazła czas, żeby się nade mną ulitować? To był cud. – Wpatrujące się we mnie wodniste źrenice pani Tupper wydawały się nieobecne, jakby wspomnienia przeniosły ją w odległą przeszłość. – Może doszły ją słuchy, że nie chcę się zgodzić... – Pergaminową twarz mojej gospodyni okraślił rumieniec. – Nie godziłam się na to, w przeciwieństwie do markietanek. Większość kobiet z podziemi była gotowa na wszystko, byle zdobyć coś do jedzenia albo kilka pensów. Nie potępiam ich za to, ale sama nie umiałam się przemóc... Może to był powód. Cokolwiek się za tym kryło, pewnego dnia posłała po mnie jednego z kalekich chłopców, których przygarnęła. Miała pokój w narożnej wieży, z trudem wdrapałam się tam po schodach. W środku było pewnie ze sto osób, wszyscy gadali po francusku albo w innej mowie. Wchodzili i wychodzili, nieśli mokre gąbki, szarpie, guziki od koszul, cytryny, jodynę, swetry z włóczki, ciepłe czapki i Bóg wie co jeszcze. Miała tam cały magazyn tych rzeczy.

– Jak się nazywała? – zamruczałam, usiłując sobie przypomnieć nazwisko, bo słyszałam już o tej wspaniałej Angielce, mimo że moja znajomość dziejów wojny krymskiej pozostawiała wiele do życzenia. Podstawę mojego wykształcenia stanowiła biblioteka po ojcu, w której królowały dzieła Sokratesa, Platona, Arystotelesa i im podobnych.

– Dopilnowała, żebym miała wikt i opierunek – ciągnęła z zachwytem pani Tupper. – Podarowała mi eleganckie ubrania, o wiele lepsze niż te, w których brałam ślub, a potem załatwiła mi przeprawę do kraju i opłaciła wszystko z własnej kieszeni. I była na tyle łaskawa, żeby bawić mnie rozmową, chociaż prawie nic z tego, co do mnie mówiła, nie rozumiałam. Już wtedy byłam przygłucha, ale nikomu się do tego nie przyznawałam, bo myślałam, że mi to przejdzie. A wszystkiemu winna kanonada pod Sewastopolem, kiedy pan Tupper i ja wieźliśmy żołnierzom brandy, a rosyjskie damy obsiadły wzgórze z parasolkami i koszami piknikowymi, przyglądając się bitwie jak jakiemuś przedstawieniu z muzyką.

Wielkie nieba! Była na polu bitwy? Moja drobna, stareńka gospodyni?

Nie wiedząc, co myśleć ani jaki nadać bieg uciekającemu w coraz to nowe dygresje przesłuchaniu, raz jeszcze wzięłam do ręki dostarczone przez listonosza tajemnicze pismo i podstawiałam jej pod nos.

– Pani Tupper – powiedziałam błagalnie – może jednak coś pani świta?

Potrząsnęła gwałtownie głową.

– Nie mam pojęcia! – krzyknęła. – To się kupy nie trzyma. Byłam tam nikiem!

„Bardzo dzielny nikiem”, dopowiedziałam w myślach. Pozostawało jednak faktem, że była zwykłą kobietą, której losy pokrzyżowała wojna. Kim więc był tajemniczy korespondent – bo sądząc po szaleńczej zamaszystości pisma, musiał być mężczyzną – i czego od niej chce? I to właśnie teraz, po trzydziestu czterech latach?

Chociaż wiedziałam, że moja ciekawość być może pozostanie niezaspokojona, poczułam, że mam obowiązek pomóc pani Tupper w rozwikłaniu tej zagadki.

ROZDZIAŁ DRUGI

A zatem, jak przystoi każdej cnotliwej młodej damie, postanowiłam zasięgnąć rady u osoby dysponującej znacznie starszą, mądrzejszą i nade wszystko męską głową: udałam się do światowej sławy doktora Lesliego Ragostina, naukowca i perdytorysty – mojego chlebobdawcy.

Żartuję. Doktor Ragostin to byt fikcyjny, twór mojej wyobraźni, stworzony po to, bym mogła się zajmować poszukiwaniem zaginionych przedmiotów i osób. Stawiwszy się w biurze pod postacią panny Meshle, sekretarki owego wybitnego człowieka, przez cały kolejny dzień głowiłam się nad dylematem pani Tupper: jak się ustosunkować do nadawcy tajemniczego listu z pogrózkami.

Zgodnie z utrwalonym zwyczajem zaczęłam od tego, że rozsiadłam się przy biurku i spisałam listę pytań.

Dlaczego gołąb pocztowy? Ponieważ wracała do domu? Czy gołąb pocztowy zawsze wraca do gołębnika? Nazwanie istoty ludzkiej gołębiem jest bardzo dziwną inwektywą.

Amerykanie nazywają donosiciela stool pigeon. Czyżby pan, nazwijmy go Iksiński, był Amerykaninem?

Czyżby określenie „ptasi mózdek” zamiast „baraniej głowy” było również amerykańszczyzną?

Jaka wiadomość?

Od kogo?

Dla kogo?

Jaki związek ma z wiadomością nasz Iksiński? Czy chce ją otrzymać, przechwycić, czy zniszczyć?

Co go łączy z panią Tupper?

Czy przebywali w tym samym czasie w Scutari?

Wszystko razem niewiele wносиło do sprawy. Prawdę powiedziawszy, intuicja podszeptowała mi, że nie należy uważać autora pogrózek za Amerykanina. Stany Zjednoczone nie były w żaden sposób zamieszane w wojnę krymską. Nadto najeżony kolcami charakter pisma pana Iksińskiego miał europejski sznyt, podobnie jak użyty zamiast atramentu...

Pospiesznie dopisałam do listy:

Dlaczego pisał tuszem? To srodek stosowany do rysunków i szkiców. Czyżby Iksiński był artystą?

Siedziałam przez chwilę, spoglądając ponuro na listę. Nie przychodziło mi do głowy nic sensownego, aż Joddy, chłopiec na posyłki, zjawił się z pakietem porannych gazet oraz – ponieważ był maj – naręczem kwiatów bzu, które kazałam sobie dostarczyć ze względu na ich boską woń.

Tego dnia osiągnęłam niewiele więcej poza ułożeniem i wystukaniem na nowoczesnej maszynie do pisania (moim niedawnym nabytku) tekstu do zamieszczenia w dziale ogłoszeń w codziennej prasie. Brzmiał on następująco:

Gołąb pocztowy nie ma żadnej wiadomości ani wiedzy o takowej i nie może niczego dostarczyć. Wszelkie indagacje mijają się z celem. Proszę poniechać dalszych działań.

Pani T.

„T” jak Tupper. Nie znałam imienia swojej gospodyni.

Kamień spadł mi z serca, kiedy wieczorem zastałam ją niewzruszoną i pogodną, zajęta gotowaniem jednej ze swoich upiornych brei. Pokazałam jej zatem treść ogłoszenia i otrzymałam zgodę na umieszczenie go w prasie.

Nazajutrz przepisałam tekst na maszynie w wielu egzemplarzach, te zaś zaniiosłam do wszystkich mieszczących się przy Fleet Street redakcji gazet, licząc na to, że publikacja zakończy sprawę.

Gdybyż tak się stało...

Była środa. Wiadomość o gołębiu pocztowym ukazała się w porannych wydaniach czwartkowych dzienników. Kiedy więc udałam się pod wieczór w drogę powrotną do biednego, wciśniętego między czynszówki East Endu domku pani Tupper, moje myśli krążyły wyłącznie wokół kolacji, a w sercu tliła się nadzieja, że starsza pani podejmie mnie czymś choć trochę zjadliwym. Wspinałam się po schodkach, spodziewając się eksplozji woni – może duszonego śledzia, kurzych wątróbek, a może czegoś ciut mniej obrzydliwego. Kiedy tylko uchyliłam drzwi, myśli te rozpierzchły

się jak spłoszone ptaki.

Ujrzałam wyciągnięte do połowy szuflady, przewrócone krzesła, powalone szafki i skorupy rozbitych naczyń zalegające na podłodze z desek.

Moich uszu dobiegł stłumiony płacz.

– Ratunku! – rozległ się przerywany łkaniem zduszony głos. – Niech mnie ktoś poratuje!

Aż mi się ścisnęło serce. Jakim trzeba być podłym draniem, by niepokoić i krzywdzić poczciwą głuchą starowinkę?

Do czego jeszcze taki typ byłby zdolny się posunąć?

Czy dalej przebywał w jej domu?

Chwyciłam za udającą wielką, pretensjonalną broszkę rękojeść, wyszarpnęłam z gorsetu ukryty sztylet i z bronią w rękę weszłam do splądrowanego domu. Rozejrzałam się bacznie na wszystkie strony, pokonałam parę kroków i wreszcie ją dojrzałam. Miała skrępowane ręce i nogi, zakneblowane kuchenną ścierką usta...

Ale nie była to pani Tupper!

– Pobili mnie!

Na kuchennym krześle siedziała w więzach cherława dziewczuszka, na oko dwunastoletnia. W pierwszej chwili, zajęta rozcinaniem powrozów krępujących jej nadgarstki i kostki, nie rozpoznałam tej owiniętej szmatą mokrej i opuchniętej twarzy. Jednak kiedy sama uporała się z uniemożliwiającą jej mówienie ścierką, uświadomiłam sobie, że to Florrie, dziewczyna do wszystkiego zatrudniana przez panią Tupper. Do tej pory widywałam ją sporadycznie, ponieważ zazwyczaj kończyła pracę, zanim zdołałam dotrzeć do domu.

Ale gdzie się podziała pani Tupper?

– Dotykali mnie parszywymi łapskami!

Po tym okrzyku Florrie uderzyła w tak rozpaczliwe tony, że nie mogłam z niej wydobyć niczego sensownego, a byłam pełna obaw, że moja gospodyni leży gdzieś niedaleko nieprzytomna, ranna, a może i... gorzej. Jednak na parterze nie było żadnych oznak jej obecności. Zostawiłam rozhisteryzowaną Florrie i pobiegłam po schodach do sypialni pani Tupper, ściskając w dłoni sztylet. Na górze zastałam jedynie dalsze ślady plądrowania – odsunięte na bok łóżko i zalegające na podłodze rzeczy, wyrzucone z szafy i komody, spod których nie było widać dywanu. Warstwa pościeli, kołder, butów, spódnic, szali i bielizny była tak gruba, że zaczęłam podejrzewać, iż gdzieś pod spodem leży pani Tupper. Odrzuciłam na bok sztylet i niczym oszalały borsuk zaczęłam ryć wśród prześcieradeł, poszewek, tanich czasopism, sukni dziennych, specyfików na reumatyzm, fartuchów i sukienek. Wśród nich walał się czarny czepek, w którym staruszka dreptała co niedzielę do kościoła.

Podniosłam dostojne nakrycie głowy ozdobione z okazji nadchodzącej Wielkanocy nowymi wstążkami i zrobiło mi się słabo. W tej samej chwili jednak odzyskałam spokój i zdolność rozumowania.

Odszukałam sztylet i wsunęłam go z powrotem za gors, tłumacząc sobie, że gdyby napastnicy byli jeszcze w domu, z pewnością już by mnie do tej pory obezwładnili, a Florrie dawno uciekłyby z kuchni. Tymczasem wciąż słyszałam na schodach echo jej zawodzeń.

Nie zastawszy pani Tupper w jej sypialni, skierowałam kroki ku własnemu pokojowi. Jakież było moje zdumienie, kiedy okazało się, że sprawcy potraktowali to wnętrze łagodniej niż resztę domu. Zajrzałam do szafy i pod łóżko. Pani Tupper – choć podświadomie spodziewałam się ujrzeć już tylko jej doczesne szczątki – nie było także i w tym pomieszczeniu.

Zbiegłam na dół. Zastałam Florrie tam, gdzie ją zostawiłam, z tą różnicą, że zdołała już wstać, a jej laments powoli przybierały postać słowną.

– Dżentelmeny, niech mnie kaczki!

Niewiele z tego rozumiałam, ale co jakiś czas udawało mi się wychwycić jakąś sensowną frazę.

– Wparowali jak dzikusy... Złoilili skórę szanującej się dziewczynie... Wywrócili dom do góry nogami...

– Gdzie jest pani Tupper? – wpadłam jej w słowo.

– Kundle ze szczurzą mordą z rynsztoka rodem...

Chwyciłam ją za ramiona. Z wielkim wysiłkiem stłumiłam chęć potrząśnięcia dziewczyną.

– Florrie, gdzie jest pani Tupper?

– ...a ona miesi ciasto na leguminę, rękawy zawinięte po łokcie, goła głowa przykryta czepeczkiem...

Nie wytrzymałam, potrząsnęłam tępym dziewczyniskiem i wrzasnęłam:

– Gdzie jest pani Tupper?!

Wyszarpnąwszy ręce z mojego uścisku, Florrie ryknęła, jakbym to ja była ciężko myślącą osobą:

– No przeca mówię! Zabrali ją!

Dopiero po trwającej godzinę lub dwie mordędze udało mi się wydusić z Florrie opis tego, co zaszło. Mimo ponawianych próśb nie zdołałam jej uspokoić, toteż w końcu oznajmiłam, że wezwę konstabla. Oczywiście nie mogła wiedzieć, że w moich ustach były to czcze pogrożki, jako że sama byłam uciekinierką poszukiwaną przez Scotland Yard i moich znamienitych braci. A jednak Florrie, jak każdy mieszkaniec East Endu, czuła śmiertelny lęk przed jakimkolwiek kontaktem z policją, więc wreszcie usiadła na kuchennym krześle, jak ją prosiłam, i zaczęła mówić nieco składniej.

– Byli ubrani jak jaśnie panowie, inaczej bym ich nie wpuściła.

– Ilu? – Postawiłam na piecu czajnik i zaczęłam szukać chociaż jednej niestłuczonej filiżanki, żeby nalać jej herbaty.

– Dwa brodate draby.

– A jak wyglądali?

– Mieli brody jak te anarchiści.

Z pewnością doklejone. Zdobywając się na anielską cierpliwość, indagowałam dalej:

– A poza tym, że byli brodaci? Jakiego koloru mieli włosy?

Nie pamiętała.

– Ile mieli wzrostu?

Nie miała pojęcia. Wydali się jej olbrzymami.

– A w jakim twoim zdaniem mogli być wieku?

Jeden był młodszy od drugiego, ale „nie szło” zauważyć różnicy. I tak dalej, i tak dalej. Przerazenie pozbawiło już i tak niezbyt lotny umysł dziewczęcia jakichkolwiek zdolności rozumowania.

Ale też trudno się dziwić. Z tego, co udało mi się zrozumieć, dwóch brodatych nieznajomych zapukało do drzwi, pytając grzecznie, czy mogliby pomówić z panią Tupper. Jednakże po przekroczeniu progu całkowicie zmienili ton, domagając się wiadomości przeznaczonej dla Ptaszyny.

– Co takiego?!

– Cięgiem się domagali, żebym im oddała coś, co trzymała dla Ptaszyny.

– Może chodziło o jakiegoś jegomościa?

– Nie mówili ani o jegomościu, ani o jejmości, tylko o Ptaszynie. Darli się jej w ucho przez trąbkę: „Wiemy, że szpiegowałaś dla Ptaszyny!”.

GOŁĄB POCZTOWY, tak nazwano panią Tupper w tajemniczej i złowrogiej wiadomości, nakazując jej dostarczenie wiadomości do PTASIEGO MÓŻDŻKU. Była ptakiem, który miał się skontaktować z innym ptakiem?

Wszystko brzmiało dziwnie, ale zaczęło się układać w spójną całość. Inaczej nie uwierzyłabym ciemnej dziewczynie do wszystkiego, kiedy ta trajlowała bez tchu:

– „To, co masz dla Ptaszyny!”, tak się na nią wydarli, a jak im znów powiedziała, że nic nie ma, to jej przysolili.

Nikczemnicy! Jak mogli podnieść rękę na biedną starowinę?

– A potem zamalowali mnie w dziób, kiedy próbowałam im przeszkodzić...

Florrie stanęła w obronie mojej gospodyni? Spoglądałam na dziewczynę z rosnącą sympatią.

– A potem mnie związali i zaczęli tego szukać.

– Ale czego?

– Nie wiem, panienko, tak samo jak pani Tupper. Była tak skołowana, że zaczęła płakać.

– Szubrawcy – wymamrotałam, stawiając przed dziewczyną filiżankę z herbatą.

– Święte słowa, panienko. Dziękuję, panienko.

– Obawiam się, że nie ma cukru. Wszystek rozsypali. – Nie mogłam spokojnie przy niej siedzieć,

więc zaczęłam chodzić po pokoju. – Czy przeklętnicy znaleźli to, czego szukali?

Dziewczyna upiła spory łyk herbaty, zanim odpowiedziała, i nie mogłam jej mieć tego za złe.

– A niby skąd mam wiedzieć, panno Meshle?

No niech ją licho porwie! Miałam ochotę wyrwać jej filiżankę. No dobrze, siedziała przywiązana do krzesła plecami do drzwi, więc nie mogła niczego widzieć, ale przecież chyba coś słyszała? Zadałam jej to pytanie z największym spokojem i uprzejmością, na jakie mogłam się zdobyć, na co odparła, że jeden ze złoczyńców stwierdził, iż „zabiorom głuche stare babsko ze sobom i niech łun jom spyta”.

Kim do diabła był „łun”?

Wygląda więc na to, że dwójka drabów nie znalazła „wiadomości dla Ptaszyny”.

Kim, do kroćset, byli?

Czy da się coś jeszcze wyciągnąć z Florrie?

Chcąc nie chcąc, ponownie usiadłam, żeby nie wisieć nad głową biednej dziewczyny, i spróbowałam ponownie ją przesłuchać. Niestety, bez zadowalających rezultatów. Dowiedziałam się jedynie, że starszy z porywaczy nie miał paru zębów (z czego wynikało jasno, iż jednak nie należał do wyższych sfer). Kiedy Florrie – idiotyczne, ale popularne imię; gdziekolwiek spojrzeć, kręciła się jakaś Florrie – kiedy więc nierozgarnięta dziewczyna znów się rozplakała, wiedziałam, że muszę dać za wygraną.

– No dobrze, Florrie. – Wręczyłam jej szylinga. – Biegnij teraz do domu i opowiedz matce, co się wydarzyło, i dopilnuj, żeby opowiedziała o tym znajomym. – Chyba nikt nie zdołałby zmusić tej kobiety do milczenia. Jęzor tej irlandzkiej praczki zastępował w tej okolicy megafon. – Niech rozgłosi – podniosłam na zachętę banknot jednofuntowy – że jeśli ktoś widział uprowadzenie pani Tupper albo wie cokolwiek na tej temat, powinien natychmiast tu przyjść i o wszystkim mnie poinformować.

Florrie, nie przestając pociągać nosem, pokiwała głową, po czym podreptała spieszenie w stronę wyjścia.

ROZDZIAŁ TRZECI

Po wyjściu dziewczyny sama również opuściłam dom i to tak jak stałam, w ozdobionej mnóstwem falbanek sukni z prążkowanej popeliny, w głupiutkim kapelusiku, z kolczykami z zielonego szkła w uszach i niezliczonymi sztucznymi loczkami na głowie. Okoliczni mieszkańcy doskonale znali z widzenia pannę Meshle i z pewnością chętnie wdaliby się z nią w pogawędkę. Liczyłam na to, że któryś z rozmówców okaże się świadkiem uprowadzenia pani Tupper.

Nie zawiodłam się, było mnóstwo takich osób. Każdy pojazd konny był w tym wąskim brukowanym zaułku rzadkim zjawiskiem, a przecież niespodziewani goście pani Tupper przyjechali tam powozem. Nie uszło to uwagi licznych obiboków z sąsiedztwa.

„Ślepy” żebrak urzędujący na rogu pospieszył z informacją, że nieznajomi zajechali pod dom krytym, lśniącym czernią powozikiem zaprzęgniętym w gniadosza, stangret zaś był pękaty i rumiany.

Właściciel kramiku ustawionego na tym samym rogu zarzekał się, że widział faeton z podniesioną budą, z herbem na drzwiczkach i chuderlawym woźnicą, ciągnięty przez czarnego konia, a całość „w sam raz nadawałaby się na pogrzeb”.

Jego żona zgadzała się z nim w kwestii herbu na drzwiczkach, dodając, że widniała na nim podobizna białego jelenia lub jednorozca. Twierdziła jednak stanowczo, iż pojazd był kaleszą z podniesioną budą, a nie faetonem, koń był maści ciemnokasztanowej, natomiast powożący był niski, krępy i obdarzony wydatnym podbródkiem.

Sprzedawca warzyw dałby sobie głowę uciąć, że widział czarny kryty powozik o żółtych kołach, bez insygniów po bokach, zaprzężony w kasztanowatego konia, którym powoził wysoki, pucołowaty mężczyzna z czerwonym nosem, z całą pewnością pijaczyna i najprawdopodobniej Irlandczyk.

Właściciel straganu ze słodkościami twierdził, że przed domem pani Tupper przystanęła raczej obskurnie wyglądająca szara dorożka, koń wyglądał „jak wyprzęgnięty od pługa”, a woźnica miał „gęste jak strzecha zrosnięte brwi”, zwieszające mu się nad nosem niczym gzyms.

Pani oferująca swoje usługi nocą, gotowa jednakże świadczyć je również za dnia, gdyby zaistniała taka potrzeba, relacjonowała z oburzeniem, że podeszła do czekającego pod domem pani Tupper woźnicy i spotkała się z grubiańską odmową. Stwierdziła, że człowiek ten wyglądał jak pierwszy lepszy facet: dwoje oczu, usta, nos pośrodku twarzy. Zapamiętała też, że powóz był czarny, jego koła zaś czerwone, na drzwiczkach brakowało herbu, a koń był maści izabelowatej.

W sprzecznych zeznaniach małych uliczników koń był kary, gniady albo jabłkowy, pojazd był czterokołową dorożką, powozem albo dyliżansem, stangret był niski, wysoki, gruby, chudy, młody, stary. W jednym tylko byli zgodni: miał paskudny charakter i zamiast rzucić im miedziaki, wygrażał batem.

Na pytanie o podróżujących rzeczoną dorożką alias faetonem, alias powozikiem, alias kaleszą, alias powozem, alias dyliżansem, zatem na pytanie o osobników, którzy uprowadzili panią Tupper, wszyscy odpowiadali, że nie widzieli, by ktoś wysiadał czy podchodził do drzwi jej domu. Podobnie nikt – ale to nikt! – nie zaobserwował sprawców wychodzących z budynku czy prowadzących panią Tupper. Nikt też nie wiedział, w którym kierunku ruszył woźnica. Najwidoczniej zdaniem gapiów warta odnotowania była jedynie chwila przybycia niecodziennych gości, nie ich odjazd. Zresztą na tym etapie, gdyby nawet któryś z moich rozmówców podał mi szczegółowy rysopis, nie uwierzyłabym w ani jedno słowo.

Czułam, że lada chwila zacznę wyć z bezsilności i wpadnę w rozpacz. Wróciłam więc do domu pani Tupper, licząc się z tym, że w każdej sekundzie może się pojawić wiadomość od Florrie lub jej matki ewentualnie żądanie okupu od porywaczy.

Choć od pory kolacji minęło już kilka godzin, nie miałam głowy, żeby pomyśleć o jedzeniu. Ba! Nie zdobyłam się nawet na to, by usiąść, ochłonąć i cierpliwie poczekać. Zamiast tego przechadzałam się po pomieszczeniu na parterze, odsuwając czubkiem buta walające się po podłodze skorupy i usiłując zebrać myśli. Dwóch roślących drabów domagało się przekazania wiadomości. „Wiemy, że byłaś szpiegiem Ptaszyny”. Pani Tupper szpiegiem? Paradne.

Ale co, u kaduka, mogło oznaczać słowo „Ptaszyna”?

I o jaką wiadomość chodziło?

Moje myśli kłębiły się w półmroku, jaki zapadł we wnętrzu, kiedy przyszła noc. Zapaliłam świecę.

W co, do krośset kartaczy, mogła się wplątać moja gospodyni? Nie potrafiłam wyobrazić sobie jej w sytuacji, w której stawiałaby opór żądaniom dwóch rosłych osiłków. Pani Tupper, mimo dramatycznych przeżyć na Krymie, nie była osobą, którą można by posądzać o skłonności do bohaterstwa. Czułam, że gdyby wiedziała, o co chodzi jej przesładowcom, z miejsca by im to przyniosła i oddała.

A jednak wszystko wskazywało na to, że nie udało im się tego czegoś zdobyć, inaczej nie mieliby powodu, by ją ze sobą zabrać. Z pewnością uznali, że kobiecina wie, gdzie się dana rzecz znajduje, i mieli zamiar zadowolić swego pana czy pracodawcę – mężczyznę, którego nazwałam Iksińskim, a który być może był rzeczoną „Ptaszyną” – wymuszając siłą na pani Tupper wydanie tego czegoś.

Ale co to było?

Dwaj intruzi przeczesali dom, jakby szukali jakiegoś materialnego przedmiotu.

Wedle wszelkich przesłanek nie znaleźli.

Po wtóre, wedle wszelkich przesłanek pani Tupper nie miała o tym czymś zielonego pojęcia.

A jednak... Czy to coś mogło wciąż kryć się w jej domu?

Kiedy byłam małą dziewczynką (niespełna rok wcześniej, w epoce poprzedzającej niezapowiedziane zniknięcie mamy, od którego to wydarzenia w moim odczuciu minęły całe wieki), w dalekiej przeszłości, w minionych dniach spędzonych na zielonej, przesyconej słodkimi zapachami wsi, w epoce sprzed smrodliwej londyńskiej szarzyzny – kiedy byłam trzynastolatką w przededniu dziesiątej wiosny, a nie czternastolatką, której zaraz stuknie trzydziestka – miałam w zwyczaju biegać po zagajnikach należących do majątku Ferndell Park i rozglądać się za czymkolwiek, dla samej przyjemności szukania i znajdowania. Wdrapywałam się na drzewa, zaglądałam w szczeliny skał, udając, że szukam skarbu. Wzbogacałam swoje zbiory o pióra sójek, muszelki ślimaków w żółtawe paski, czyjs kolczyk z granatem, jaja siewek, miedziane jednopensówki pokryte grynszpanem, interesujące kamyki, które być może kryły w sobie drogocenne kryształy. Zdaje mi się, że skłonność do prowadzenia poszukiwań w najmniej oczywistych miejscach weszła mi w krew, by z czasem stać się moim życiowym powołaniem.

Tak więc przystąpiłam do poszukiwań w domu pani Tupper nie tylko pod wpływem energii zrodzonej z desperacji, lecz także za sprawą instynktu poszukiwaczki i rozwijanego od lat talentu do wypatrywania najdrobniejszych niezwykłości.

I tak, w przeciwieństwie do tajemniczych sprawców, którzy bezceremonialnie porzucali dobytek pani Tupper, zaczęłam od odkładania rzeczy na miejsce. Zapaliwszy wszystkie świece, każdą latarnię i lampkę oliwną (tym samym lekceważąc zuchwale panujące w domu zasady oszczędnego gospodarowania), przypatrywałam się cal po calu pomieszczeniom zajmowanym przez moją gospodynię i każdemu z przedmiotów, które z pietyzmem odkładałam na miejsce.

Skorupy pozostałe z potłuczonych naczyń zamiatałam na szufelkę, by następnie opróżnić ją do kosza.

Rozbiciu uległy także dwa fajansowe cocker spaniele, które strzegły obu końców półki nad kominkiem. Przyjrzałam się dokładnie temu, co z nich zostało, jednak nie znalazłam śladów świadczących o ukrywaniu czegoś wewnątrz figurynek.

Zawartość kuferka z pamiątkami wałała się w strzępach po podłodze. Pozbierałam je, przyglądając się bacznie każdemu dokumentowi: świadectwu chrztu mojej gospodyni, tak staremu i kruchemu, że popękało w miejscach złożenia; równie wiekowym fotografiom rodzinnym; zdjęciu upamiętniającemu koniec roku w prowadzonej przez siostry miłosierdzia Ragged School (pani Tupper naprawdę wysoko zaszła jak na osobę, która rozpoczęła życie w szkole dla najuboższych!), na którym widniały karnie stojące w szeregach dzieciaki; zdjęciu ślubnemu, które widziałam już wcześniej; poźółkłemu świadectwu zawarcia małżeństwa, aktowi własności domu i tym podobnym. Z lektury dowiedziałam się jedynie, że pani Tupper miała na imię Dinah, i nic ponadto.

Robiło się późno, jednak nie mogłam sobie pozwolić na sen i pracowałam dalej. Wysprzątawszy

i przejrawszy połączoną z salonikiem kuchnię, urwałam sobie kawał chleba i zmusiłam się do jedzenia, wiedząc, że powinnam oszczędzać siły. Przeżuwając twardą skórkę, ruszyłam na górę, by zmierzyć się z sypialnią pani Tupper.

Przedtem jednak weszłam do swojego pokoju i poświęciłam kilka cennych chwil na pozbycie się coraz bardziej zawadających mi części garderoby panny Meshle: gorsetu, uzdatniacza biustu, poduszczek na biodra i tym podobnych. Z cichą ulgą przeistoczyłam się z kształtnej blondynki w prawdziwą chuderlawą Enolę. W samych pończochach i szlafroku, z pozbawionymi życia włosami i śladami zmęczenia na pociągłej twarzy przystąpiłam do dalszych poszukiwań.

Wszystkie szuflady komody pani Tupper zostały wybebeszone. Trzymając w dłoni zapaloną świecę, przypatrzyłam się temu skromnemu sprzętowi w poszukiwaniu skrytek, które mogłyby służyć do przechowywania tajnych dokumentów. Odsunęłam nawet mebel od ściany, by obejrzeć go z tyłu. Potem zlustrowałam bacznie każdą z szuflad, w środku i na zewnątrz, zanim wsunęłam je z powrotem na miejsce. Nic.

Z cichym westchnieniem wzięłam się do zbierania ubrań porzucanych na łóżku i podłodze. Składając biedniutki, staromodne pantalony i układając je w komodzie, uroniłam kilka łez. Nie do pomyślenia: jacyś obcy mężczyźni wtargnęli do kobiecej sypialni, by grzebać swoimi brudnymi łapskami w najintymniejszych częściach garderoby. Cóż za okropna myśl!

Podobnie łzawe oburzenie towarzyszyło mi, kiedy po obejrzeniu zakamarków szafy zaczęłam wieszać w jej wnętrzu pozbierane z podłogi pomięte ubrania. Pani Tupper była dobrą, zacną kobieciną, rozmyślałam, trzymając w ręku muślinowe bluzki i schludnie połatane wełniane spódnice, które nosiła na co dzień. Z całą pewnością w chwili porwania miała na sobie bluzkę, spódnice, fartuch i domowy czepek z falbanką. Musiała być w szoku, ponieważ zawsze dbała o to, by przed wyjściem z domu zamienić fartuch na sztywno wykrochmalony biały fartuszek, a miękki domowy czepek na wyjściowy.

Spódnice i bluzki to strój na co dzień. Na ważniejsze okazje wkładało się suknie. Pani Tupper gospodarowała nimi tak, jak wszystkim innym: oszczędnie, skromnie i systematycznie. Miała ich nie więcej niż cztery. Każdej wiosny dokonywała dokładnie przemyślanego zakupu. Nabywała nowy ubiór odpowiedni dla niewiasty w jej wieku i o jej pozycji społecznej, w miarę dostosowany do zmieniającej się mody. Każdej zimy przerabiała jedną ze starych sukien, prując ją, nicując na niepoplamioną stronę, zmieniając jej krój i przyozdabiając zgodnie z obowiązującymi trendami. To, czego nie dawało się uratować, lądowało na śmietniku. Moja gospodyni pozbywała się wszystkiego, co trąciło myszką. Rozstała się na przykład z tiurniurą już w rok po tym, jak ta pokraczna narośl w dole pleców wyszła z mody.

Dlatego zdziwiło mnie, że wśród strojów, które pozbierałam z podłogi, znajdowała się przedpotopowa krynolina pamiętająca czasy, gdy hołdujące modzie damy z trudem mieściły się w drzwiach. Suknia była wyjątkowo dobrze uszyta; miała stanik z marszczoną baskinką, falbanki przy ramionach oraz obowiązującą przed trzydziestu laty rozpinaną na konstrukcji z okrągłych obręczy spódnice, na którą zużyto mnóstwo jardów jedwabiu o barwie pruskiego błękitu.

Czyżby oszczędna pani Tupper zachowała ją ze względu na materiał?

Jednak w takim przypadku chyba już dawno by ją spruła i przerobiła na coś skromniejszego.

Może w takim razie była to pamiątka? Suknia ślubna? Byłaby na to wystarczająco strojna.

Ale nie, przecież widziałam fotografię ślubną, na której panna młoda była zupełnie inaczej ubrana.

Dlaczegoż więc, na litość boską, oszczędna kobieta dysponująca niedużą szafą zdecydowała się zachować taką zawalidrogę?

Moje zdziwienie wzrosło, kiedy dostrzegłam poniewierający się na podłodze kolejny element garderoby. Pani Tupper zachowała także stelażową halkę krynoliny!

ROZDZIAŁ CZWARTY

Łaskawy czytelnik zechce uprzejmie zrozumieć, iż nie próbuję się teraz usprawiedliwiać, stwierdzam jedynie obiektywną prawdę. Zaczynało już świtać, chociaż niestety nie w mojej głowie. Po nieprzespanej nocy ztraciłam zdolność kojarzenia faktów do tego stopnia, że zamiast przyjrzeć się halce i wyciągnąć z tej obserwacji jakieś wnioski, patrzyłam na nią z dziewczęcym zdziwieniem. Przecież takich pożałowania godnych fatalaszków nikt nie nosił od mniej więcej tysiąc osiemset sześćdziesiątego roku, więc po co pani Tupper przechowywała w szafie tak bezużyteczny przedmiot?

Przebiegłam palcami po ciężkiej i sztywnej konstrukcji z lnu i końskiego włosia. Jak się domyślałam – choć krochmal zdążył się już wykruszyć, a całość nieco oklapła – w czasach swojej świetności stelaż był wyjątkowo solidny i wytrzymały. Dźwigał na sobie ciężar suto marszczonej, rozszerzającej się ku dołowi spódnicy uszytej z dziewięciu jardów materiału, ozdobionej dodatkowo licznymi falbankami. Każda z kolejnych obręczy miała coraz większą średnicę i do każdej z nich doszyto szerokie, drapowane, zachodzące na siebie falbany zwane wolantami, które tworzyły napuszoną halkę. Dla zamaskowania szwów wolanty ozdobiono u góry mocną taśmą rypsovą, haftowaną w drobne kwiatuszki.

Zadumałam się, patrząc na te botaniczne wyszywanki.

W przeciwieństwie do większości dobrze wychowanych panien nigdy nie opanowałam sztuki haftu. Moja matka, zdeklarowana sufrażystka, gardziła salonowymi talencikami, zachęcając mnie do lektury, jazdy na rowerze, przechadzek po lesie i łażenia po drzewach. Nie było mi dane lepić różyczek z woskowych płatków, nizać muszelek na sznurek, obrębiać chusteczek czy obszywać koralikami futerałów na okulary. Wprawdzie nauczyłam się podstaw codziennego szycia, umiałam cerować pończochy czy ratować rozprute szwy, jednak haft pozostał dla mnie tajemnicą.

Z pełnym przekory dreszczykiem podziwiałam więc zdobiące halkę błękitne wstążki przesyte pastelowymi niemi w barwach rózu, brzoskwini, cytryny i lawendy. Zawsze podobały mi się wyczarowane igłą bukieciki i w cichości bolałam nad faktem, że mam w tej dziedzinie braki. Tak mi to dokuczało, że potajemnie opanowałam podstawowe ściegi prezentowane w „Girl’s Own Paper”. No dobrze, tylko dwa: supełkowy i margerytkowy. Właśnie te, które wykorzystano do przyozdobienia tasiemek krynolinowej halki. Choć nigdy nie wyszywałam szarf i wstążek, spodziewałam się jakichś powtarzających się motywów. Tymczasem okazało się, że wstążki z niebieskiego jedwabnego rypsu ozdobiono uroczymi, lecz zupełnie bezładnie rozmieszczonymi wyobrażeniami różyczek oraz przypominających gwiazdki kwiatuszków o pięciu płatkach. Ujmującymi, acz łatwymi do wyszycia, jak zauważyłam, przyjrzawszy się im z bliska. Kwiatki wyszyto ściegiem margerytkowym wokół supełka, natomiast różane płatki imitowała nic przeplatana kolejno pod co drugą z pięciu „szprych” wyhaftowanych nicią innej barwy...

Czy mi rozum odebrało? Moja biedna przygłucha gospodyni została uprowadzona, może jest ranna, może nawet... zaszlachtowana, a ja siedzę i gapię się na wyszywanki!

Upchnąwszy halkę w czeluściach szafy, wróciłam do poszukiwania czegoś, co mogłoby pomóc w wyjaśnieniu zagadki zniknięcia pani Tupper albo naprowadzić na trop, który pozwoliłby ustalić miejsce jej pobytu. Przejrzałam i odwiesiłam na wieszaki resztę ubrań, przypatrzyłam się łóżku, przywracając je do ładu, zajrzałam pod stolik nocny, przekartkowałam nawet stosiki czasopism plotkarskich i żurnali mód, ale na niewiele się to zdało. W desperacji uniosłam róg dywanu, jednak pod spodem też niczego nie znalazłam. Westchnęłam i przysiadłam na łóżku, rozglądając się wokół, by zebrać myśli. Omiotłam wzrokiem podłogę. Przyjrzałam się ścianom. Położyłam się na wznak, żeby otaksować gipsowany sufit...

Godzinę lub dwie później obudziła mnie Florrie.

– Ojej, panno Meshle – sapnęła. – Ale się przez panienkę strachu najadłam. Wszędzie pozapalane światła, a panienki ni widu, ni słyhu, ani na dole, ani u siebie. Myślałam, że i panienkę porwali.

– Co? Kto? – wymamrotałam, nie mogąc sobie od razu przypomnieć, gdzie się znajduję, co tam robię i jak się nazywam. Panna Meshle? Myślałam, że jestem Enolą Holmes.

– Panno Meshle – oznajmiła Florrie z troską w głosie – coś panienka nieswojo dziś wygląda.

O rany, tak sobie panienska wzięła do serca sprawę pani Tupper, że przez jedną noc wychudła na wiór ze zgryzoty. To cud, że panienska jeszcze żyje.

Biedne, proste dziewczątka nigdy mnie nie oglądało bez poupychanych pod kiecką poduszeczek i gumowych wkładek, które nosiłam pod policzkami i w nosie, by nadać swej twarzy pełniejszy owal. Mój wygląd uległ zasadniczej zmianie, co posługaczka przypisała zmartwieniu po zniknięciu gospodyni.

– A możliwe, że ona sama gryzie już ziemię, jak mówi moja mama...

Na te słowa zerwałam się z łóżka.

– Florrie, błagam, zamilcz!

Pani Tupper zgłodzona? Zamordowana? Cóż za nonsensowny wniosek! Choć może wcale nie taki nonsensowny... Tak czy siak, nie wolno było wypowiadać tego na głos.

Florrie jednak się nie uciszyła.

– Ale reszta z nas musi żyć dalej, więc jeśli panienska jeszcze nie jadła, to zaraz podam jajko i filiżankę herbaty.

Cóż za przedziwne z niej było stworzenie: niezgrabne, kościste ciało i okrągła, dziecinna buzia. Ale nawet ona próbowała mi matkować. Paradne. Ta myśl sprawiła, że podniosłam się i przysiadłam na brzegu łóżka pani Tupper z czymś na kształt uśmiechu na twarzy.

– Florrie, czy są jakieś wiadomości o mojej gospodyni? – spytałam łagodnym tonem.

– Nie wiem, czy to można nazwać wiadomościami, panienko, ale ludziska o niczym innym nie gadają. Jedni mówią, że to robota czerwonych anarchistów, inni, że porwali ją bandyci z doków albo że dopadł ją sam Kuba Rozpruwacz. – Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. – Ale to chyba nieprawda. Co, panienko? Pani Tupper była taką szlachetną osobą.

Florrie mówiła o mojej gospodyni w czasie przeszłym? Skoczyłam na równe nogi.

– I dalej nią jest, mam nadzieję. Masz całkowitą rację, Florrie, muszę coś zjeść, żeby mieć siły na obmyślenie planu działania. – Wprawdzie z czytanych przeze mnie zapisków doktora Watsona wynikało, że niedożywienie i brak snu działały pobudzająco i wzmagaly przenikliwość umysłu mojego zdolnego brata Sherlocka, sama jednak niestety – niestety, ponieważ wiązało się to ze stratą czasu – funkcjonowałam znacznie lepiej, kiedy byłam wyspana i najedzona.

– Dobrze, panienko. – Florrie ruszyła w stronę schodów.

Skierowałam się ku drzwiom, by podążyć jej śladem, a wtedy mój wzrok padł na szeroko otwartą szafę i jej zawartość.

– Florrie! – zawołałam. – Nie wiesz przypadkiem, po co pani Tupper to u siebie trzymała? – Wyciągnęłam z szafy szykowną, staromodną suknię z niebieskiego jedwabiu.

– Ależ wiem, panienko! – Florrie ożywiła się nagle, obróciła na pięcie i pełna entuzjazmu wbiegła z powrotem do sypialni. – Pokazała mi ją kiedyś, ponieważ dostała ją w prezencie od pewnej damy, na cześć której dali mi imię. Może nie do końca, bo dali mi imię po ciotce, ale ciotce na pewno je dali na jej cześć.

Niech to diabli porwą, gadanina tej smarkuli zaczynała mnie powoli przyprawiać o ból głowy. Musiałam jednak zmierzyć się dzielnie z potokiem jej słów. Głównie dlatego, że nie miałam nic innego do roboty.

– Na czyją cześć?

– No niby tej damy, panienko, tej, co to dała pani Tupper swoją suknię!

Zaczerpnęłam powietrza.

– Po kolei, Florrie. Powolutku. Kto dał pani Tupper suknię?

Florrie tak bardzo chciała mi pomóc, że niemożność udzielenia mi informacji wprawiła ją w widoczną rozterkę.

– Nie pamiętam dokładnie, jak się nazywała, ale w czasach, kiedy moja ciotka przyszła na świat, była bardzo sławna. Mówili na nią Dama z Latarnią. Ale potem słuch o niej zaginął.

Pani Tupper wspominała o Damie z Lampą... Zmusiłam znużony umysł do wysiłku i powoli zaczęłam łączyć jedno z drugim. Trzydzieści cztery lata temu. Dziś już zapomniana wojna krymska. „Podarowała mi eleganckie ubrania, o wiele lepsze niż te, w których brałam ślub”. Z całą pewnością pani Tupper miała na myśli trzymaną przeze mnie krynolinę z połowy wieku.

– Jakżeż się ta pani nazywała? – mamrotała Florrie.

Jedno z „krzyżówkowych” nazwisk, ongiś sławnych, potem powoli niknących w niepamięci... Ale jaki to wszystko miało związek z naszą obecną i nagłą sytuacją?

– Mniejsza o to. – Upchnęłam suknię z powrotem w szafie i zatrzasnęłam drzwi. – Chodźmy, Florrie.

Dziewczyna posłusznie podreptała za mną na parter, mrużąc cały czas pod nosem.

– Florence. Florence jakaś tam – mamrotała dalej, nastawiwszy czajnik, ja tymczasem opadłam na kuchenne krzesło. – Takie fikuśne nazwisko, trochę nocne. Blackwell? Blackwood? Blackbird?

Nagle mnie olśniło.

– Florence Nightingale!

– Właśnie! – wrzasnęła Florrie z widoczną ulgą. – Night-in-gaol^[2], pewnie miała w rodzinie jakiegoś rzezimieszka, mimo to była damą jak się patrzy.

– Żadna Night-in-gaol – wpadłam jej w słowo. Bezwiednie, wskutek irytacji i zmęczenia, zaczęłam mówić z wrodzonym arystokratycznym akcentem. – W tym nazwisku nie ma żadnych aluzji do osadzenia w celi. Pochodzi od słowika, obdarzonej słodkim głosem ptaszyny z rodziny muchołówkowatych...

Nagle mrok moich myśli przeciął rozbłysk światła, zupełnie jak wybuch magnezji nad aparatem fotografa. Zerwałam się z miejsca, omal nie przewracając przy tym stołu.

– Bogowie! – zawołałam w bardzo mało dystyngowany sposób. – Ptaszyna!

ROZDZIAŁ PIĄTY

Założyłam, że Dama z Lampą przeniosła się już do innego, lepszego świata. Wszyscy weterani wojny krymskiej, których dane mi było poznać, stali już nad grobem, a przecież poszli na front jako młodzieńcy, natomiast Florence Nightingale była w latach wojny panią w średnim wieku. Tak, było niemal pewne, że już dawno nie żyje, tym bardziej że od lat o niej nie słyszałam. Ale może udałoby mi się dotrzeć do jakiegoś żyjącego potomka jej rodu, który mógłby znać historię pani Tupper, a może nawet aktualne miejsce jej pobytu. Była to bardzo wąta poszlaka, jednak uczepliłam się jej jak tonący brzytwy, bo innych możliwości nie widziałam.

Przełknąwszy nieco pieczywa popitego herbatą, pobiegłam na górę, żeby się przebrać. Po drodze rozmyślałam, w kogo najlepiej będzie się wcielić. Panna Meshle, reprezentantka klasy pracującej, nie budziłaby dość szacunku, by otwierały się przed nią drzwi salonów. Z kolei przeistoczenie się w emanującą splendorem wyższych sfer pannę Violę Everseau zabrałoby mi kilka godzin i wystawiłoby moją cierpliwość na ciężką próbę. Drżącymi z emocji dłońmi wyrzucałam z szafy kolejne stroje, aż wreszcie zdecydowałam się wystąpić w prostej, wąskiej sukience z welenki w kolorze ceglającym. Zaczesawszy swoje szarobure włosy w koczek i przyozdobiwszy chudą, pociągłą twarz okularami w szylkretowych oprawkach, mogłam śmiało uchodzić za reprezentantkę pewnego szczególnego odłamu dam żyjących dla idei i oddających się studiom (na tyle, na ile pozwalali im na to bardzo terytorialni osobnicy płci męskiej rządzący Muzeum Brytyjskim). Przeistoczyłam się w niekonwencjonalną młodą kobietę, która odrzuca myśl o zamążpójściu, pozostając nadal reprezentantką wyższych sfer. Pamiętajmy jednak, że żadna aspirująca do miana piękności dama nie pokazałaby się na ulicy w okularach na nosie.

Przejrzałam się w lustrze i utwierdziłam co do słuszności mojego wyboru. Grube, ciemne oprawki skutecznie odwracały uwagę od moich rysów twarzy, zwłaszcza od niepokojąco wybujałego rozmiaru mego nosa. Całości dopełniał nieco męski w charakterze czarny kapelusik. Doskonale. Przedzierzgnęłam się w starą pannę – wolnomyślicielkę, na którą nikt nie zwróci uwagi. Ostatnimi elementami uzupełniającymi moją garderobę były żakiet i rękawiczki (uwalane, rzecz jasna, atramentem). Ruszyłam ku wyjściu, wołając:

– Florrie, czekaj tu na mój powrót. – Chciałam, żeby była na miejscu, gdyby zjawił się ktoś z informacjami o zaginionej.

– Oczywiście, panno... – Spojrzała na mnie i rozdziawiła ze zdumienia usta. – Panno... hm... Meshle?

– Mniejsza o to, Florrie.

– Idzie panienska szukać pani Tupper?

– Oczywiście, Florrie. Miejmy jednak nadzieję, że trafi do domu o własnych siłach, i to niebawem.

Ach, gdybyż moje słowa były prorocze...

Na ulicach East Endu kłębiły się jak zwykle rzesze niedomytych przedstawicieli rodzaju ludzkiego: obdarte i przymierające głodem urwisy, żebrak o skórze upstrzonej odrażającymi i ropiejącymi „poparzeniami” (do których powstania przyczyniły się głównie osad po mydle i ocet); przekupnie nawołujący schrypniętymi od wysiłku głosami: „Pierozki i paszteciki!”, „Piwo imbirowe!”, „Świeże rybki! Śledziki jak malowane!”. Lawirując między praczkami a pomocami domowymi drepczącymi z zaferowaniem w stronę Westminster City, spostrzegłam postać wyróżniającego się spośród tego tłumu wysokiego, muskularnego robotnika. Szedł powoli, noga za nogą. Przyduża kraciasta czapka opadła mu na oczy. Idąc w tym tempie, z całą pewnością spóźni się do roboty.

Kiedy minęłam pompę Aldgate, mierzące dwadzieścia stóp monstrem architektoniczne zwieńczone imponującą żeliwną latarnią, mogłam wreszcie przywołać dorożkę. Ów pomnik oświecenia i higieny wyznaczał bowiem początek mniej smrodliwej, bardziej nobliwej części miasta. Kiedy zatrzymał się przy mnie pojazd, wsiałam, rzucając woźnicy:

– Szkoła pielęgniarstwa Florence Nightingale.

– Już się robi, panienko.

Rozsiadłam się wygodnie na siedzisku otwartej dwukółki, licząc na to, że dorożkarz będzie

wiedział, dokąd mnie zawieźć. Sama nie miałam najmniejszego pojęcia o adresie instytucji, o której istnieniu kiedyś coś niecoś słyszałam.

Kiedy powóz zaczął turkotać po bruku, usłyszałam głos mojego woźnicy.

– Ej! – zawołał do mijanego kolegi. – Gdzie się mieści szkoła pielęgniarek?

Okazało się, że szkoła zlokalizowana jest po drugiej stronie Tamizy, którą pokonaliśmy, przejeżdżając przez most Londyński, w dzielnicy Lambeth, nieopodal Szpitala Świętego Tomasza. Kiedy wyskoczyłam z dorożki i zapłaciłam za przejazd, zauważyłam młode kobiety w sztywno nakrochmalonych białych czepkach, kołnierzach i fartuchach przykrywających brązowe suknie o tak skromnym kroju, że nawet moje merynosy wydawały się przy nich szczytem elegancji. Spacerowały dwójkami po rozświetlonych majowym słońcem ścieżkach niedużego francuskiego ogrodu, pogrążone w ciszy, jakby zaaferowane jakąś ważną misją. Jak się domyślałam, były to adeptki sztuki pielęgniarskiej.

Ponieważ nie wyglądały na skore do rozmowy czy choćby zaszczylenia mnie spojrzeniem, ruszyłam w stronę masywnych drzwi frontowych sporego, acz niezbyt ładnego ceglanego budynku. Zapukałam, jednak po chwili dostrzegłam wiszącą tam tabliczkę z poleceniem: „Proszę wejść do środka”, co też uczyniłam.

Kolejny szyldzik, ozdobiony namalowaną dłonią wskazującą odpowiedni kierunek, wskazał mi drogę do sekretariatu. Tam zastałam odzianą w czerń, zasuszoną starszą siostrę przełożoną. Kobieta omiotła mnie krytycznym wzrokiem od stóp do głów.

Ojej. Widać uznała mnie za kandydatkę do pobierania nauk w szkole. Ku własnemu niezadowoleniu ze zdenerwowania zaczęłam się plątać w bezładnych wyjaśnieniach.

– Nie przyszłam... to znaczy nie jestem... Mmm... Usiłuję ustalić miejsce pobytu pewnej osoby z rodu Nightingale’ów, ponieważ mam do niej sprawę natury prywatnej.

Zasuszone kobiecina zatrzepotała szybko powiekami.

– Pewnej osoby?

– Panny Florence Nightingale...

Usiłowałam nadać głosowi brzmienie pełne zboląłego szacunku, ponieważ byłam niemal pewna, iż słynna stara panna opuściła już ziemski padół. Okazało się jednak, że nie muszę wyluszczać szczegółowo swoich motywacji, gdyż starsza pani skinęła dziarsko głową, sięgnęła po papier, chwyciła pióro, zapisała coś i wyciągnęła ku mnie karteczkę.

– South Street trzydzieści pięć – przeczytałam na głos, po czym spojrzałam na rozmówczynię ze zdumieniem w oczach. – To panna Nightingale jeszcze żyje?

Musiałam mieć wyjątkowo cielecy wyraz twarzy, ponieważ chudzinka uśmiechnęła się do mnie zza biurka.

– I cieszy się dobrym zdrowiem. Chociaż nie wychodzi z domu.

O rety, załamałabym się, gdyby miało się okazać, że wprawdzie żyje, ale nie będę mogła się z nią spotkać.

– Czyżby zaniemogła? A może straciła jasność umysłu?

– Skleroza? Nic z tych rzeczy. – Chuda starsza pani zachichotała. – I rzadko trapią ją choroby. Chodzi o to, że od powrotu z Krymu jest przykuta do łóżka i przestała gdziekolwiek bywać.

– Czyżby była.... mmm... inwalidką?

Fatalnie. Od razu zdjęła mnie obawa, ponieważ z doświadczenia wiem, że inwalidzi to zazwyczaj zrędlivi i wymagający hipochondrycy, którzy rozmyślnie postanowili przestać – że się tak wyrażę – być na chodzie. W wyższych sferach trudno byłoby znaleźć domostwo, w którym wcześniej czy później władzy nie przejęłaby taka unieruchomiona na własne życzenie osoba. Wiele dam gotowych było przykuć się do łóżka, byle tylko zdobyć możliwość rozstawiania rodziny po kątach. Ba, przecież ja sama uciekłam na kilka tygodni w chorobę po zniknięciu mamy, chociaż w tym przypadku kierowała mną obawa przed – ogólnie rzecz biorąc – nieprzyjemnościami oraz – szczegółowo rzecz ujmując – moim bratem Mycroftem.

Ale żeby trwało to aż trzydzieści pięć lat?

Przełożona pospieszyła z wyjaśnieniem:

– Woli, by uznano to za przesadną troskę o zdrowie. Ale jeśli w istocie jest inwalidką, to z pewnością najbardziej aktywną w całym Londynie. – Kobieta machnęła niecierpliwie dłonią na znak, że powinnam już wyjść. – Uciekaj, skarbie. Muszę zakończyć przerwę rekreacyjną nowicjuszek.

Opuściłam gmach z głową pełną niepokojących myśli. Wszystkie krążyły wokół bohaterkiej Florence Nightingale, którą złożyła niemoc. Oto kolejny posąg na glinianych nogach, zasępiłam się. Czy niegdysiejsza Dama z Lampą będzie w stanie rzucić światło na mroczną tajemnicę biednej pani Tupper?

Lambeth to spokojna dzielnica. W południe na ulicach kręciło się tu niewiele osób. Ku swojemu zdumieniu zauważyłam, że jeden z przechodniów to ten sam przechadzający się niespiesznie robotnik w przydużej kraciastej czapce, który zwrócił moją uwagę wcześniej na East Endzie. Może pracował w tej okolicy?

Wyszukałam najbliższy postój dorożek i wsiadłam do kolejnej dwukółki, każąc się wieźć na South Street 35.

Dorożkarz, zamiast śmignąć konia batem, zawołał:

– W Mayfair, panienko?

Zaskoczyło mnie to jeszcze bardziej niż jego, ale mam nadzieję, że udało mi się to ukryć.

– A tam właśnie jest South Street?

– Tak, proszę panienki.

– Zatem tam się właśnie udamy.

Woźnica postanowił się upewnić, czy dobrze mnie usłyszał, czemu w sumie trudno się dziwić. Mayfair to najbardziej reprezentacyjna część Londynu. Można by się spodziewać, że kobieta, która poświęciła swoje życie dla szczytnych celów, mieszka... Cóż, sama nie wiem gdzie, ale... na pewno nie w Mayfair, dzielnicy ludzi bogatych i wpływowych. Czyżby Florence Nightingale była osobą majątną? Po głębszym zastanowieniu doszłam do wniosku, że musiała dysponować znacznymi środkami, skoro udało jej się dokonać tylu wspaniałych rzeczy. Pozostawało jednak pytanie, dlaczego osoba urodzona w bogactwie, zamiast bywać na królewskim dworze, wybrała krew i brud szpitala na Krymie? I z jakiego powodu teraz, kiedy była przykuta do łóżka, postanowiła mieszkać wśród bywalców dworu? Rozmyślałam tak, jadąc podskakującym na wybojach kabrioletem, zżerana przez pełną obaw i emocji ciekawość.

Jednakowoż najśmielsze domysły nie mogły mnie przygotować na to, co zastałam przy South Street 35, nieopodal Park Lane. Dom był umiejscowiony tak, by można było z jego okien podziwiać panoramę Hyde Parku. Budynek sprawiał szacowne wrażenie. Było to czteropiętrowe ceglane gmazysko otoczone terenem, którego granice wyznaczał parkan z kutego żelaza. Okiennice i ornamenty murów pomalowano farbą o barwie głębokiej, stonowanej zieleni.

Zaczerpnąwszy kilka razy powietrza, wspierałam się po schodach ku okazałym drzwiom z półkolistym naświetlem. Uniosłam obręcz kołatki z lśniącego mosiądzu i zastukałam, licząc, że otworzy mi budzący respekt kamerdyner, który – odpytawszy szczegółowo – zaprowadzi mnie do cichej, wyłożonej dywanami biblioteki lub do bawialni, gdzie przyjdzie mi czekać w samotności, aż...

Drzwi się uchyliły i stanął w nich młody człowiek, który nie był ani kamerdynerem, ani lokajem, odziany w najmodniejszą tweedową marynarkę i pumpy, z łydkami ściśniętymi wysokimi jasnobrazowymi getrami. Usunął się na bok i ledwo musnąwszy mnie wzrokiem, zaprosił do środka.

Już od progu uderzyła mnie w nozdrza mieszanina zapachów herbaty, ciasta i kwiatów ciętych, której towarzyszył wielogłosowy gwar.

– Bardzo przepraszam – powiedziałam, zupełnie zbита z tropu. – Czyżbym w czymś przeszkodziła?

– Skądże znowu. – Zaprzeczeniu towarzyszył urywany śmiech. – Jest tak jak w każdy dzień powszedni. Proszę wejść.

Wyczułam w jego głosie zniecierpliwienie, więc spełniłam tę prośbę. Po chwili znalazłam się w przestronnym, jasnym holu, z którego liczne otwarte na oścież drzwi prowadziły do salonu, biblioteki, pokoju śniadaniowego, jadalni i innych obszernych pomieszczeń. W każdym z wewnątrz zasiadali mężczyźni w garniturach i kobiety w sukniach wizytowych, zajęci rozmową, sączeniem herbaty, studiowaniem dokumentów, robieniem notatek lub dowolną kombinacją wymienionych czynności. Mój

i tak skołowany umysł doznał szoku, kiedy rozpoznałam wśród gości byłego premiera Gladstone'a.

Przyszło mi na myśl, że wizja panny Nightingale poświęcającej mi tej niedzieli choć chwilę uwagi może się okazać marzeniem ściętej głowy.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Stałam bezradnie niczym żaglowiec unieruchomiony przez bezwietrzną pogodę pośrodku wyłożonego sizalowym chodnikiem holu wejściowego, ponieważ młody człowiek, który mnie wprowadził do budynku, zniknął bez śladu, a ja nie miałam pojęcia, co dalej robić. Nieco zbity z tropu zaczęłam się przyglądać stojącym w sieni meblom: praktycznym, bardzo ładnym sofkom zintegrowanym ze stojakami na kapelusze, lustrami i stojakami na parasole, wysokiemu jak wieża zegarowi stojącemu, gablotkom pełnym pamiątek (z Krymu zapewne) oraz haftowanym sentencjom zdobiącym ściany: „Cierpliwość i wytrwałość to królewska para”, „Dobre chęci nie usprawiedliwiają złych wyborów”, „Kto nie idzie naprzód, ten się cofa”. Każdą z maksym ozdobiono delikatną bordiurą z wyszywanych kwiatów.

Kiedy trwałam w głębokiej zadumie nad hasłem „Kto nie idzie naprzód, ten się cofa”, obok mnie przesunęła się bezszelestnie kobieta w jedwabnej sukni (z całą pewnością nie służąca), trzymająca w rękach tacę z dzbankiem lemoniady i szklankami. Chociaż o tej porze roku nie należało się spodziewać natrętnych os, wierzch dzbanka przykrywała osłonka haftowana w subtelne margerytki. Byłam tak oczarowana tym pięknym przedmiotem, że aż się wzdrygnęłam z zaskoczenia, kiedy młoda dama spytała mnie przyjaźnie, zwracając się do mnie jak do dorównującej sobie statusem osoby:

– Czy przyszła tu pani w sprawie reformy szpitalnictwa?

Chociaż pozowałam na dojrzałą kobietę, odpowiedziałam jak przystało na nieopierzoną czternastolatkę:

– Yyy... nie...

– A może chodzi pani o pożałowania godne warunki panujące w warsztatach przemysłowych?

Potrząsnęłam przecząco głową.

– Z pewnością nie jest pani członkinią Komisji Medycyny Wojskowej – ciągnęła młoda osóбка, usiłując mnie jakoś osadzić w znanych sobie strukturach. – Komisja Wydawania Licencji dla Przeszkolonych Pielęgniarek?

Kręciłam głową jak nierozgarnięte dziecko, aż w końcu wydukałam:

– Muszę zadać pani Florence Nightingale pewne pytanie.

– Nie będzie z tym najmniejszego problemu. Proszę się zgłosić do pani Crowley, siedzi za biurkiem w bibliotece. – Moja rozmówczyni skwitowała te słowa skinieniem głowy i uśmiechem.

Pani Crowley, sprawiająca wrażenie nieco starszej wersji strojnej damy, która mnie do niej skierowała, również kiwnęła głową z uśmiechem, kiedy usłyszała, że mam sprawę do Florence Nightingale. Na całe szczęście nie kazała mi się przedstawiać, bo naprawdę nie miałam pojęcia, w jakiej roli występowałam tego dnia. Nie zażądała ode mnie ani biletu wizytowego, by posłać go przykutej do łóżka pani domu, ani listu uwierzytelniającego. Nie dociekając przyczyn mojej niezapowiedzianej wizyty, wskazała mi gestem pobliskie siedzisko, po czym wręczyła mi przenośny blat do pisania, wyposażony w pióro, atrament oraz kartkę wysokiej jakości kremowego papieru z pulpy szmacianej.

Zapewne patrzyłam na te przedmioty z nieukrywanym oszołomieniem, ponieważ pani Crowley poinstruowała mnie łagodnym tonem:

– Proszę napisać, jaką sprawę ma pani do panny Nightingale, a ten młody szalapat w pumpach dostarczy jej wiadomość. Kiedy tylko adresatka znajdzie czas, udzieli pani odpowiedzi na piśmie.

– Ale... ale ja... – wyjąkałam – muszę z nią porozmawiać w cztery oczy!

Uśmiech pani Crowley stał się odrobinę szerszy.

– Ojej, nie. Zdaje się, że pani nie rozumie, iż jest to całkowicie niemożliwe. – W jej głosie zabrzmiał leciutki ton uprzejmej nagany. – Nikt nie rozmawia z panną Nightingale w cztery oczy. – Z życzliwym uśmiechem skinęła głową w stronę przeszklonych drzwi na końcu korytarza. Za szybą stał sam premier Gladstone. – Kiedy jego ekscelencja życzy sobie zadać jej pytanie, posyła jej liścik. Wszyscy tak robią.

– Ale... skoro jest inwalidką, jak może...

– To naprawdę zadziwiające, jak dużo może zdziałać osoba przykuta do łóżka, moja droga. Posiłki spożywa w samotności i od rana do nocy poświęca się pracy. Wydaje dyspozycje domownikom,

pisze do stu listów dziennie, biorąc czynny udział w kształtowaniu reform, choć zastrzegła sobie, by nie wymieniano jej nazwiska w prasie. Jednak wśród wtajemniczonych krąży powiedzonko, że brytyjski parlament składa się z Izby Lordów, Izby Gmin oraz Izby Florence Nightingale.

Zdaje mi się, że spróbowałam cichutko zaoponować:

– Wielkie nieba, nie miałam o tym pojęcia. Mimo to naprawdę muszę się z nią rozmówić osobiście.

– To po prostu niemożliwe. – W brzmienie głosu pani Crowley wkradła się lekko cierpka nuta. – Sprawia pani wrażenie osoby wykształconej. Czyba posiadała pani umiejętność pisania, prawda?

– Ale to może być kwestia życia lub śmierci!

Na pani Crowley nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.

– Od trzydziestu lat panna Nightingale nie spotyka się z nikim, ani z rodzicami, póki jeszcze żyli, ani z siostrą, ani z żadną inną, poza nielicznymi wyjątkami, osobą. Nie sądzę zatem, by zechciała zrobić dla pani wyjątek. Ale oczywiście może ją pani o to poprosić. – Ruchem dłoni zwiastującym chęć zakończenia rozmowy pani Crowley wskazała na przybory piśmiennicze spoczywające na moich kolanach.

Niech to wszystko lichy porwie. Gdyby mury tego szczególnego domostwa oplatał bluszcz, wyszłabym na dzieciniec i spróbowała wspiąć się do sypialni samotniczki. Ponieważ jednak ściany były gołe, zaczęłam gryzmolić na leżącej przede mną kartce.

Mając niemal całkowitą pewność, że niczego tym sposobem nie osiągnę, napisałam, co następuje:

Droga Panno Nightingale,

ponieważ czas nagli, przejdę od razu do rzeczy. Starsza kobieta została uprowadzona przez bandytów. Prawdopodobnie ma to związek z tym, że niegdyś poznała Panią na Krymie, gdzie powierzyła jej Pani pewną wiadomość, którą zaginiona miała komuś przekazać. Chodzi o Dinah Tupper. Czy domyśla się Pani, gdzie może obecnie przebywać pani Tupper albo kim są jej porywacze?

Przyjaciółka

Osuszyłam pismo bibułą, złożyłam je na pół i podałam nieprzystającą się uśmiechać pani Crowley. Odebrała je ode mnie z aprobującym skinieniem głowy, a następnie, zatoczywszy szeroko dłonią, zachęciła mnie do skorzystania z gościnności tego domu:

– Proszę się napić herbaty albo lemoniady, kochanie, a także poczęstować ciasteczkami. Poinformujemy panią, kiedy tylko adresatka udzieli odpowiedzi.

Doszłam do wniosku, że ta cała panna Nightingale opanowała sztukę rządzenia z łoża boleści do perfekcji. Wyobraziłam ją sobie jako przewrażliwioną na swoim punkcie osobkę. I chociaż miałam nieodpartą chęć zadusić kogoś lub coś (jeśli nie ją samą), udało mi się zachować pokorną minkę. Skinęłam grzecznie głową, wstałam i uciekłam.

Staralam się sprawiać wrażenie osoby, która błąka się po domu bez celu, jednak korciło mnie, by przyjrzeć się dokładniej niektórym frapującym elementom wystroju.

Przechadzając się po pomieszczeniach parteru, mijałam stoliki, przy których goście raczyli się tartinkami, ciasteczkami owoców, gorącymi pasztecikami i innymi specjałami – panna Nightingale szczerze manifestowała swoją gościnność, skąpiąc jednak własnej obecności. Podziwiałam haftowane serwetki, haftowane obrusy i także poszewki na poduszki. Ba, nawet słoiczki z konfiturami przykryto krążkami płótna ze zmyślnie wyczarowanymi igłą wizerunkami owoców: malin, winogron, brzoskwiń, moreli, truskawek, porzeczek, pigw. Każdy z haftów informował o zawartym wewnątrz smaku.

Faktem jest, że w każdej wielkopańskiej rezydencji można się spodziewać bogatego asortymentu ozdób haftowanych z zapalem przez panią domu. Zazwyczaj jednak spotyka się także dowody innych kultywowanych przez damy talentów. Tu na próżno wypatrywałam modelowanych z wosku kwiatów, domowej roboty abażurów z plisowanego jedwabiu, bezużytecznych puzderek oklejonych muszelkami czy malowanych na szkle obrazków. Nie dostrzegłam szydełkowych osłonek na zagłówki foteli, za to haftowanych z czułością poduszek było zatrzęsienie. Nawet na ścianach, obok podobizn przodków w postaci malowideł, miniatur, fotografii i portretów sylwetkowych, zawieszono oprawne w ramy haftowane krajobrazy.

Szczególną uwagę zwróciłam na fotografii – kilka pięknych studiów głów, część z nich ujętych z profilu jak na portretach sylwetkowych. Były także pełnopostaciowe zdjęcia ślubne oraz nieliczne mniej oficjalnie upozowane wizerunki. Na jednym z nich starszy mężczyzna w towarzystwie młodej kobiety o zadziwiająco pospolitej urodzie stał w swobodnej pozie w obramowanym kamieniami wejściu do jakiejś wiejskiej posiadłości. Inny starszy pan i kolejna nieurodzona kobieta spożywali podwieczorek przy stole w ogrodzie. Kiedy próbowałam dociec natury więzów łączących wszystkie te osoby, podszedł do mnie żywcem wyjęty z żurnala mój „szałaput w pumpach” i podał mi liścik, który – jak zakładałam – był odpowiedzią niedostępnej panny Nightingale. Na pachnącym fiołkami cieniutkim papierze widniały słowa skreślone delikatnie fioletowym atramentem. Wielki kontrast z nabazgraną przeze mnie wiadomością, którą zaniesiono na górę.

Wzięłam liścik do ręki, ale zanim go przeczytałam, wskazałam na zdobiące ściany portrety i skierowałam do młodzieńca pytanie:

– Czy byłby pan tak miły i objaśnił mi, kim są przedstawieni tu ludzie?

– Ach! O większości z nich wiem tyle co nic. Ale tutaj – wskazał na starszą parę siedzącą przy ogrodowym stole – widzimy Williama Edwarda Nightingale’a i Fanny Smith Nightingale, rodziców panny Florence. A tutaj... – Mowa była o dość ropuchowatej z urody młodej kobiecie stojącej na progu domu. – Tutaj widać pannę Frances Parthenope Nightingale, sfotografowaną w swoim rodzinnym domu w Embley. Panna Parthe, jak zwykle się o niej mówi, to starsza siostra panny Florence.

Przemknęłam wzrokiem po pozostałych portretach, szukając podobnie ropuchowatej fizjonomii, po czym spytałam:

– A na którym zdjęciu jest panna Florence Nightingale?

– Na żadnym. Z zasady nie godzi się na tworzenie i eksponowanie jej podobizn.

Nie dziwiłam się jej, zakładając, że była podobna do siostry.

A skoro los okazał się dla niej tak okrutny, to nie należy się również dziwić, że nie wyszła za mąż i popadła w zgorzknienie. Odcięła się od ludzi, a nawet od własnych krewnych.

Kiedy przyodziany w tweed młodzian ponownie zniknął, zerknęłam na pachnący fiołkami liścik. Kartkę pokrywały drobne i bardzo starannie nakreślone litery, przywodzące na myśl charakter pisma księgowego, i układające się w następującą treść:

Ze smutkiem powiadamiam, iż nie mogę służyć pomocą, ponieważ nie znam nikogo o nazwisku Tupper. Niestety nie wiem nic na temat trapiących Panią spraw.

Bardzo mi przykro.

Szczerze oddana

Florence Nightingale

I nic więcej.

Oczywiście. Poza tym, że było to niemożliwe. I nie do przyjęcia.

Natychmiast po przeczytaniu listu wymknęłam się cichaczem na zewnątrz, ponieważ pod czaszką kłębiły mi się natrętne myśli.

Ktoś z domowników lubił haftować.

Chociaż nic mi nie wiadomo, by ktoś pokusił się o studium tematu czy napisał stosowną monografię (jak mój brat Sherlock, autor kompendiów o popiele z cygar, szyfrach i reakcjach chemicznych), to jednak hipoteza, że styl haftowania, podobnie jak pewne cechy charakteru pisma, może się różnić w zależności od osoby, wydawała się całkiem uzasadniona. Haft bywał przecież delikatny lub krzykliwy, wyszywane linie wydłużone lub zaokrąglone, regularne bądź nie, a wszystko było warunkowane tym, kto siedział przy igle.

Wszechobecne w domu Florence Nightingale wyszywanki cechowała ujmująca, nieuchwytna prostota. I byłam pewna, że już widziałam próbkę tego typu haftu.

Na wstążkach halki krynoliny.

Zastanawiające. Wstążki to kosztowna fanaberia. Haft to pracochłonna technika zdobienia. Odbiorcy zadowolają się zwykle jednym lub drugim. Łączenie tych ozdób jest ekstrawagancją godną co

najmniej sukni ślubnej.

Dlaczego ktoś zadał sobie tyle trudu, by ozdobić stelażową halkę krynoliny? Najbardziej toporny i najbrzydszy element bielizny? Coś, czego nie oglądały oczy postronnych osób? Coś skrywanego nawet przed oczyma pana młodego w noc poślubną?

Nagle zdjęła mnie nieprzeparta ochota, by pobiec do domu i przyjrzeć się raz jeszcze tej mało efektownej części garderoby.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Przy Park Lane nie brakowało powozów do wynajęcia.

– Dorożka! – zawołałam, unosząc obciążoną rękawiczką dłoń.

– Dorożka! – zawołał w identyczny sposób dżentelmen, który szedł za mną. Teraz przyspieszył kroku, by wsiąść do krytego czterokołowego pojazdu, który zatrzymał się tuż za przywołanym przeze mnie fiakrem.

Kiedy mężczyzna idący za mną zaczął mnie wymijać, zerknęłam na niego od niechcienia, po czym zeszytniałam jak rażona piorunem. I nie jest to przesada, bo sparaliżowało mnie nagłe olśnienie. Uświadomiłam sobie, że tego dnia widziałam owego człowieka już dwukrotnie, tyle że nie w tak wytwornym stroju. Ten wysoki, szeroki w barach osobnik mówił i zachowywał się jak dżentelmen. I teraz wszystko było jasne. Dlatego moje oko, być może podświadomie, wyłowiło go wówczas z tłumu typowych mieszkańców East Endu! Zupełnie nie pasował do reszty – zwykły robotnik nie przechadza się leniwie z ręką wsuniętą na plecach za pasek, z wysoko uniesioną głową, jak ktoś, kto nigdy nie dźwigał ciężarów. Tak, ten pewny siebie jegomość był w swoim żywiole właśnie tutaj, w okolicach Hyde Parku. Pozbył się topornego skórzanego pasa, którym przewiązał wcześniej marynarkę, i zastąpił cudaczną kraciatą czapkę melonikiem. Teraz każdy, kto nie zwróciłby uwagi na jego obuwie, mógł go wziąć za dobrze prosperującego kupca w jednorzędówce.

Wskoczywszy zgrabnie do dorożki, od razu przywarłam do okna. Mogłam się teraz przyjrzeć twarzy tego człowieka, a była to twarz niezwykła. Jego rysy, mimo że doskonale symetryczne, były łagodnie zaokrąglone, nie zaś ostre i kościste jak u większości arystokratów. Gdybym była artystką, powiedziałabym, że jego profil był wręcz modelowy pod względem proporcji. Nadto budził we mnie bliżej nieokreślone skojarzenia. Skąd mogłam znać tego osobnika?

Jednak w tamtej chwili moim największym zmartwieniem było to, jak się go pozbyć.

Ledwo dorożka dojechała do kolejnej przecznicy, podjęłam decyzję. Stuknęłam pięścią w sufit pojazdu, sygnalizując woźnicy, że ma stanąć.

Wysiadając, nie bawiłam się w tłumaczenie swojego zachowania, tylko rzuciłam uprzejmie:

– Bardzo dziękuję, mój dobry człowieku. – Potem wręczyłam należność za pełny kurs i natychmiast ruszyłam chodnikiem w kierunku, z którego przyjechałam.

Druga dorożka, do której wsiadł idący za mną wcześniej mężczyzna, siłą rzeczy musiała przystanąć za moją. Kątem oka dostrzegłam Klasyczny Profil, jak go naprędce nazwałam. Mężczyzna siedział w wystudiowanej pozie zwrócony twarzą ku oknu, spoglądając na ulicę.

Zatrzymałam się na chwilę przy młodej ulicznej kwiaciarce, by kupić bukiet konwalii. Zrobiłam to z dwóch powodów. Po pierwsze – chciałam jakoś uzasadnić przyczynę mojej nagłej zmiany planów, a to celem uspienia podejrzliwości adwersarza, po drugie – wykorzystałam okazję, by się odwrócić i ustalić, gdzie się obecnie znajduje. Mój fiakier pojechał dalej w poszukiwaniu kolejnego pasażera, natomiast dorożka Klasycznego Profilu zgodnie z moimi przewidywaniami nie ruszyła jeszcze z miejsca.

Uśmiechnęłam się i zanurzyłam twarz w bukiet, jakbym delectowała się wonią konwalii. Przeszłam kawałek dalej i przywołałam kolejny czterokołowy pojazd.

Zapłaciłam dorożkarzowi należność za cały przejazd, tłumacząc tajemniczo, że „tak będzie mi wygodniej”, i zamówiwszy kurs pod gmach Muzeum Brytyjskiego, wsiadłam do środka. Ale kiedy tylko woźnica zaciął konie batem, wymknęłam się z pojazdu, uchylwszy drzwiczki od strony ulicy. Moja dorożka poturlała się dalej, zasłaniając mnie przed wzrokiem obserwatora, który – jak się domyślałam – był wielce ciekaw moich poczynąń. Dzięki temu mogłam przemknąć niezauważenie za stojący przy krawężniku pusty powóz i śledzić dalszy rozwój wypadków.

Kiedy opuszczona przeze mnie dorożka włączyła się do ruchu, w ślad za nią ruszył także pojazd wiozący Klasyczny Profil i wkrótce zniknął mi z oczu.

Przyznam szczerze, że byłam zachwycona własnym sprytem.

Ale tylko przez chwilę, bo zaraz odezwało się moje drugie, surowsze ja. „Enolu, dość tego dobrego. Co takiego osiągnęłaś? Ten człowiek doskonale wie, gdzie mieszkasz. Przecież śledził cię od

samego rana, kiedy opuściłaś East End”.

Zyskałam trochę czasu – i nic poza tym. Chcąc wykorzystać tę przewagę, przywołałam kolejną dorożkę i pospieszyłam do domu.

– Ni widu, ni słyhu, panno Meshle – odpowiedziała Florrie na moje pytanie dotyczące pani Tupper. Załamując ręce, niezdarne dziewczę strzelało w nieznośny sposób wydatnymi kłykciami.

Chcąc ją czymś zająć, wręczyłam jej do potrzymania bukiet, podczas gdy sama zdejmowałam kapelusz i rękawiczki.

Potem bez zbędnych wstępów pokazałam jej to, co zawnoczu przygotowałam. Zmierzając do domu dorożką, wykorzystałam czas, by wyciągnąć z czeluści uzdatniacza biustu papier i ołówki (upchane tam wraz z innymi niezbędnymi rzeczami) i naszkicować kilka podobizn tajemniczego dżentelmena, który mnie szpiegował. Sportretowałam go w czapce i bez czapki, *en face* i z profilu. Chociaż nie mam wybitnych zdolności plastycznych, potrafię celnie uchwycić charakterystyczne cechy zapamiętanych twarzy, zwłaszcza kiedy czuję się lekko zaniepokojona.

A tak właśnie się czułam. Niespokojnie. Nawet bardzo. Co się mogło dzieć z moją biedną, głuchą gospodynią?

– To łun! – zaskrzeczała natychmiast Florrie. – To ten młodszy z dobrymi zębami! Tutaj nie ma brody, ale to łun. Ten, co zabrał panią Tupper!

– Do spółki z tym drugim bandytą? – dopytałam, chcąc się upewnić, czy dziewczyna nie zmieni zeznań. – Tym starszym z popsutymi zębami?

– Tak, psze pani!

– Ale to ten starszy, bardziej kostropaty drab cię uderzył?

– Nie! Nie, panno Meshle! – Mimo że Florrie miała typowe dla osób pracujących od najmłodszych lat silne dłonie, nie mogła powstrzymać drżenia palca, którym wskazywała teraz twarz o miękkich rysach należąca do młodego człowieka, zwanego przeze mnie w duchu Klasycznym Profilem. – To był ten! To łun uderzył mnie i panią Tupper!

Podniósł rękę na bezbronną staruszkę?

Wielkie nieba! A przecież wyglądał na dżentelmena. Poczułam zimny dreszcz pnący się złowieszczo w górę kręgosłupa niczym wąż. Kim był człowiek, który skrywał się za tą przyjemną fizjonomią?

Uderzając palcem w moje rysunki, Florrie nagle zawołała:

– Ale skąd panienka ma jego portret?

Zbyłam pytanie milczeniem, bo dziewczucha i bez tego za dużo już o mnie wiedziała. Nie miałam zamiaru przyznawać się do autorstwa szkiców.

– Florrie, zamknij drzwi na klucz i nikogo nie wpuszczaj, nie zapytawszy mnie o zgodę – rzuciłam przez ramię, pędząc na górę. Musiałam natychmiast coś sprawdzić.

Kilka chwil później, niemal dusząc się pod obfitością staroświeckiej sztywnej i drapiącej halki rozpiętej na stelażu, usiadłam przy oknie swojego pokoiku, żeby przyjrzeć się temu paskudztwu w świetle dziennym.

Hm...

Przywołałam do porządku wszystkie targające mną emocje i w skupieniu zaczęłam się przyglądać badawczo błękitnym wstążkom haftowanym w kwiatki. Jako pierwsze zauważyłam, iż nie były one, jak to zwykle bywa, przyszyte na stałe w celu przykrycia topornych łączeń. Przyfastrygowano je na chybcika, jakby były przeznaczone do usunięcia.

Doszłam do wniosku, że przymocowano je tymczasowo do halki krynoliny, ponieważ miały trafić niezauważone do tajemniczego odbiorcy wiadomości. Ale dlaczego umieszczono je na tak szpetnym...

– No, jasne – wyszeptałam, odpowiadając sobie na niedokończone pytanie. – Stelażu się nie pierze. – Nieukształtne halki i inne intymne części damskiej garderoby powierzano służącej albo pracce, ryzykując raz po raz, że zostaną skradzione lub się zawieruszą, jednak ze stelażem właścicielka krynoliny nie powinna się rozstawać. – Ale sprytny pomysł – zamruczałam, pełna podziwu dla inteligencji panny Nightingale.

Umieścić zaszyfrowaną treść na pasmanteryjnych ozdóbkach niewymownej części damskiej garderoby – taki pomysł mógł się zrodzić jedynie w genialnym umyśle kobiety świadomej faktu, że żaden mężczyzna nie będzie się przyglądał haftowanym wstążeczkom. Nie wzbudziły one żadnych podejrzeń u dwóch opryszków, którzy splądrowali domek pani Tupper. Śmiem twierdzić, że nawet mój brat Sherlock nie zwróciłby na nie uwagi. O nieba, sama byłam bliska zlekceważenia ich obecności.

Przepełniona podziwem przyjrzałam się kryptogramom, bo takim mianem należało teraz określić te wstążki haftowane w prosty kwiatowy wzorek.

Łaskawy czytelnik pamięta z pewnością, iż były to kwiatuszki o pięciu płatkach oraz małe, okrągłe różyczki. Kwiatki wyszyto kolorowymi nićmi: różową, czerwoną, żółtą, brzoskwiową, lawendową, białą, fiołkową... Pomiędzy nimi z rzadka rozmieszczono także zielone listki. Postanowiłam wy badać, czy w układzie barw pojawia się jakaś prawidłowość. W tym celu sięgnęłam po nożyczki i oddzieliłam wstążki od halki (jak już wspominałam, były do niej przyszyte łatwo dającą się usunąć fastrygą). Odrzuciłam pozbawioną ozdób halkę w kąt, gdzie zastygła, stojąc sztywno na własnych obręczach, nastroszona białą tiulową gazą. Wyglądała jak duch pani Tupper.

Szybko przegoniłam niefortunne skojarzenie – doprawdy nigdy nie należy tracić nadziei! – po czym ułożyłam wstążki na łóżku od najkrótszej do najdłuższej, czyli w kolejności, w jakiej rozmieszczono je na obręczach.

Rozciągnięte na płasko skojarzyły mi się od razu z wersami zadrukowanej karty. Przyszło mi do głowy, że różnaitość barw poszczególnych kwiatków nie miała większego znaczenia. Być może był to celowy zabieg, który miał odwrócić uwagę od innej dziwnej cechy wzorów: nie były zbyt zróżnicowane pod względem kształtów.

Pięciopłatkowa pętelkowa margerytka, bodaj najprostszy do wyszycia kwiatek.

Kilka przeplatanych przez nitki ściągów – najmniejsze i najprostsze wyobrażenie różyczki.

Listki.

Co jakiś czas niepokryty haftem błękit wstążki.

Właśnie te puste miejsca naprowadziły mnie na trop. Po co zostawiać niezdobione fragmenty na haftowanej wstążce? To, na co patrzyłam, z pewnością było szyfrem.

Ale jak można zapisać litery, słowa i zdania przy użyciu za ledwie trzech symboli: pięciopłatkowego kwiatuszka, różyczki i listka (miejscami dwóch)?

Ponieważ przeciążony umysł buntował się nieco przeciw dalszemu przyglądaniu się różnobarwnym kwiatkom, zmusiłam się do przeniesienia całości na papier, stosując sprawdzoną metodę zastępowania znaków symbolami graficznymi. Spisuję te wspomnienia na maszynie do pisania, więc przedstawię całość, zamieniając przypominający gwiazdkę kwiatek na asterysk, różyczkę na kropkę i listek na ukośnik. Uzyskałam w ten sposób zapis, który wyglądał tak:

/.*/* ../***/.***/***/* ../*.**\.**/.*././..*/***/
.*./.*.*..*/.***/.*..*/.*.***/.*././..*\.***/.../*./
.***/.*.***./.**./.*./***/..**.***.*/*****/.*./.../*/
.*/*./**/*.***/*./****/*.***/*.***/*.*..**.*./.*./.*.*
*../*****.*./.*./.*./..*/.*./.../..../*/*./.*./...*\.***/.*/
.*../*.*./.**./.*/***/.*./.*./.**.../*/*.*.*.*.*.*.
** ../*.
** ../*.../*.../*.../*.../*...**.*./** ../*.*.*.*.*.*.*.*.
/*.***/*.../*.*./.*.*.*.*.*.*.*.*.*.*.*.*.*.*.*.
/*** ..**.*.*.*.*.*.*.*.*.*.*.*.*.*.*.*.*.*.*.
.****/.*.**.*/****/*./.*./.****/.*.**.../*.*.*./.****/.*.
***..*/**.*./.*.**.*.*.*.*.*.*.*.*.*.*.*.*.*.*.
.***.*.*.*.*.*.*.*.*.*.*.*.*.*.*.*.*.*.*.
***/*./.**.*./*.*

No i wszystko jasne.

Liczę na to, że łaskawy czytelnik zrozumie, iż ostatnia uwaga ma żartobliwe zabarwienie.

Wpatrywałam się w ciągi znaków, aż opadły mi powieki. Proszę pamiętać, że miałam za sobą ponad dwadzieścia godzin intensywne wrażeń, bez przerw na sen czy posiłek. Mój umysł, zazwyczaj tak przenikliwy, pograżył się w marazmie.

Jedynym pomysłem, który mi w końcu przyszedł do głowy, było to, że podwojony listek mógł być znakiem zakończenia... Tylko czego? Słowa? Zdania?

A co mógł oznaczać listek pojedynczy?

Być może był jakimś znakiem przestankowym, ale to by oznaczało, że zapis zrobiono, posługując się zaledwie dwoma znakami – kropką i gwiazdką (z lenistwa przestałam już myśleć o różyczkach i margerytkach). Jak można stworzyć sensowny tekst, mając do dyspozycji tylko dwa znaki?

Z całą pewnością coś umykało mojej uwadze. Barwy użytych nici? Supełki? Może te ostatnie, umieszczone pośrodku pięciopłatkowych kwiatków, miały różne formy? Ścisnąc w dłoni kartkę, podniosłam się i poczłapałam chwiejnie w stronę łóżka, na którym wciąż spoczywały rozwinięte wstążki. Pochyliłam się nad nimi, mrużąc oczy, by jeszcze raz przyjrzeć się drobnym wzorkom, które były teraz ledwo widoczne, ponieważ zapadła już noc, a płomyki świec ledwo rozjaśniały mrok.

Nagle, wbrew własnej woli, rymnęłam jak kłoda na łóżko i zapadłam w sen. Tak jak stałam, w ubraniu, trzymając w ręku kartkę pokrytą kropkami, gwiazdkami i ukośnikami.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Domyślałam się, że przed powrotem na noc do domu Florrie zajrzała na górę i widząc, co się stało, postanowiła mnie nie budzić, tylko w trosce o moje bezpieczeństwo zdmuchnęła wszystkie świece. Nie mam innego wytłumaczenia na to, że w środku nocy ocknęłam się nagle w egipskich ciemnościach.

Ze snu wyrwał mnie mój własny organizm, który postawił weto dalszej drzemce i serią skurczów w dolnej części tułowia dawał mi do zrozumienia, że umiera z głodu. Jęknęłam i usiadłam na brzegu łóżka. Grzebiąc w zakamarkach pamięci, starałam się ustalić, kim jestem i co tu robię.

A potem zeszywniałam.

Okazało się, że nie tylko ja się na coś głośno skarżę.

Dom wydawał przytłumione i przerażające dźwięki. O, teraz! SKRZYYYYP.

Ktoś skradał się na górę po schodach.

Alarm! Każdy mój nerw naprężył się jak postronek. Przecież drewniane stopnie nigdy głośno nie protestowały, kiedy stąpała po nich filigranowa pani Tupper. Potem rozległo się kolejne skrzyknięcie, jakby druga osoba nadepnęła na tę samą zrzedliwą deskę. W domu była dwójka intruzów. Słyszałam wyraźnie ich kroki, kiedy po omacku pięli się po schodach.

To doprawdy niezwykle, że umysł, choćby znużony do granic swoich możliwości, potrafi tak błyskawicznie reagować w sytuacji zagrożenia. Momentalnie i bezszelestnie zgarnęłam wszystkie wstążki i zapiski, wśród których zmorzył mnie sen. Dopiero kiedy bezpiecznie dzierżyłam w dłoniach bezcenne poszlaki, zsunęłam się za łóżko, by ukryć się po stronie niesąsiadującej z drzwiami.

Rozplaszczyłam się na ziemi i w tej samej chwili usłyszałam odgłos przekręcanej gałki. Po chwili drzwi mojej sypialni były otwarte.

Ze swojej kryjówki dostrzegłam pełgającą po ścianach upiorną poświatę tłącą się smolnej szczapy. Ze wszystkich sił usiłowałam nie zdradzić się żadnym ruchem. Ba, wstrzymałam nawet oddech, kiedy nieproszeni goście wsunęli głowy do mojego pokoiku.

– Łóżko wciąż zaścielone – odezwał się jeden z nich, zdradzając tubalnym i niskim głosem przynależność do plemienia Cockneyów. – Wygląda na to, że lokatorka dała dyla.

– Wystraszyła się porywaczy, i słusznie – skomentował ironicznym tonem drugi. Jego arystokratyczny akcent i tembr głosu od razu skojarzył mi się z przywołującym dorożkę tajemniczym osobnikiem z Park Lane. – Skoro jest nieobecna, nie pogniewa się, jeśli weźmiemy sobie parę świec, nieprawdaż?

Bezceremonialnie zgarnęli po sztuce, użyli moich zapalek, po czym wyszli, zamykając za sobą drzwi.

Wypuściłam z płuc powietrze, a potem szybko i w miarę bezszelestnie podniosłam się z podłogi, ściągnęłam pantofle i położyłam je na łóżku. W samych pończochach podkrađłam się na paluszkach do drzwi i zaczęłam nasłuchiwać.

Mężczyźni zdążyli już przejść do sypialni mojej gospodyni.

– ...z bombiastą spódnicą z błękitnego jedwabiu. Taką samą nosiła kiedyś moja babka – zauważył arystokrata znużonym, acz lekko sarkastycznym głosem, jakby bawiło go przetrząsanie garderoby starszej pani. – To pewnie będzie to.

– Pewnikiem. Ciachnę dół.

Przez dłuższą chwilę (usprawiedliwioną długością rąbka krynolinowej spódnicy) słyszałam dźwięki rozrywanego ostrzem noża materiału. Zajęty pracą mężczyzna zaczął przeklinać, początkowo z rzadka i pod nosem, a potem coraz głośniej i soczyściej.

– Nic! – wrzasnął, kiedy doszedł do końca.

– W rzeczy samej – przytaknął drugi rozbawionym tonem. – Wielki Bonza nie będzie zachwycony. Czy gołąb pocztowy na pewno mówił, że trzeba szukać w zaszewce?

– Ta stara prukwa? Gęś nie gołąb, bez pomysłu, głucha jak pień, nie da się z niej wyciągnąć nic, co by się kupy trzymało. Wiadomo ino jedno: Ptaszyna dała jej suknię i tyle.

– A może zaszyła jakąś karteczkę w falbanach?

Ponownie rozległ się cichy trzask rozcinanego materiału. Biedna, zbezczeszczona suknia!

Jednocześnie w moim sercu zagościła wielka ulga: najwidoczniej pani Tupper nie opuściła jeszcze tego padołu łez, skoro rozmawiała z „Wielkim Bonzą”, kimkolwiek był. Tylko co się z nią teraz dzieje?

– Nic! – sapnął ponownie zbir i zaklął siarczyście. – Jego lordowska mość na pewno powie, żeśmy dali plamę.

Słuchając go, założyłam, że „jego lordowska mość” to inne określenie tajemniczego pana Iksińskiego, zwierzchnika, którego raczej nie darzyli sympatią.

W arystokratycznym głosie zabrzmiało znużenie.

– No to zanieśmy mu tę suknię i niech ją sam obejrzy.

– Będziem się tarabanić przez miasto z tą cholerną kiecką jak para cyrkowców? – zagrział kompan.

– Nie miałeś nic przeciwko tarabanieniu się z inną cholerną kiecką, kiedy tkwiła w niej staruszka.

– To insza inszość.

– I to w biały dzień.

– A czy ktoś nas wtedy widział?

– A czy ktoś nas teraz zobaczy, prócz pijaczków i ladacznic?

Usłyszałam, jak ponownie kierują się w stronę mojej sypialni, mijają drzwi i zacierają w stronę schodów.

„A chociażby ja”, pomyślałam, uchylając cichutko drzwi, żeby uchwycić moment, w którym przejdą obok okienka w sieni, przez które wpadało światło ulicznej latarni. Przesunęli się na jego tle jak dwie postacie z chińskiego teatryku cieni i przez chwilę mogłam się im przyjrzeć. Zarys pospolitej twarzy jednego z nich nie zrobił na mnie wrażenia, natomiast drugiego z mężczyzn rozpoznałam momentalnie – był to Klasyczny Profil. W tej pełnej napięcia chwili mózg podszeptnął mi radośnie, skąd znam te charakterystyczne rysy twarzy. Z zaskoczenia omal głośno nie krzyknęłam, jednak rozsądek w porę wziął górę i zachowałam milczenie.

Za moment jednak głos rozsądku, nakłaniający mnie do pozostania w bezpiecznej kryjówce, poniósł fiasko. O nie, skoro nadarzała się okazja, by wybadać, gdzie jest przetrzymywana pani Tupper.

Kiedy tylko rozległ się trzask zamykanych na dole drzwi, wkroczyłam do akcji. Zbiegłam w samych pończochach na dół, pognałam do wejścia, uchyliłam nieco drzwi i wyjrzałam. Zgodnie z przewidywaniami młodszego z intruzów uliczka była o tej porze wyludniona. Jednak tuż przy schodkach skromnego domku pani Tupper czekał powóz. W przygaszonym świetle rzucanym przez latarnie i przednie lampy pojazdu rozpoznałam bardzo elegancką niedużą karetę z żółtymi szprychami, zaprzęzoną w smukłego kłusaka. Nie dostrzegłam wprawdzie herbu, co nie znaczy, że go tam nie było, bo drzwiczki spowijał cień. Z tego samego powodu nie mogłam dokładniej przyjrzeć się wsiadającym do powozu mężczyznom.

Ale przecież moją misją było coś więcej niż podglądanie. Kiedy tylko zamknęli za sobą drzwiczki karety, wybiegłam jak strzała z domu pani Tupper, modląc się w duchu, żeby pasażerowie pojazdu nie obejrzel się za siebie.

W literackich opisach brawurowych pościgów bohater bardzo często uczepia się tyłu powozu i tkwiąc tam – targany chłodem, cierpiący katusze bądź innego rodzaju niedogodności fizyczne, zarazem niezauważony przez podróżujących w środku złoczyńców – dociera do miejsca, gdzie przetrzymywana jest jego uprowadzona kochanka.

Uznałam, że pani Tupper jest godna podobnego poświęcenia z mojej strony. Podkasałam zatem spódnicę – te długie do ziemi kiecki to prawdziwe przekleństwo dla kobiety czynu – i rzuciłam się w pogoń. Karetą toczyła się już po bruku, ponieważ stangret zdążył zaciąć konia batem, jednak urocze stworzenie nie przeszło jeszcze w kłus, kiedy rozpędziłam się, skoczyłam i przywarłam do tylnej ściany powozu, licząc na to, że łoskot toczących się po bruku okutych metalem kół zagłuszy odgłos mojego ładowania. Objęłam budę wszystkimi kończynami, jakby była pniem jakiegoś ogromnego drzewa.

Zawisłam tam jak godny potomek darwinowskich naczelnych.

Tyle że nie było się czego trzymać! Moje dłonie i stopy na próżno szukały jakichkolwiek wypustek czy wgłębień. Nie było ani gzymsu, ani półki na bagaże, których mogłabym się chwycić. Ulegając impulsowi, nie pomyślałam, że producenci dbali o to, by tył powozów i dorożek pozostawał

gładki, inaczej wszyscy londyńscy ulicznicy i próżniacy wykorzystywaliby każdą sposobność, by zaliczyć kurs gratis. Niestety, wpadłam na to poniewczasie. Rozciągnięta na gładkiej powierzchni jak przerośnięty pajak czułam, że z każdym podskokiem karety coraz bardziej odklejam się od pleców budy.

Nie przejechałam nawet kwartału, kiedy klapnęłam na ziemię, lądując w mało elegancki sposób na niewymownej części ciała. Siedząc na zapługawionym bruku, patrzyłam na oddalający się szybko powóz z niedającą się opisać rozpaczą.

Nie zwracając uwagi na ubawionych moim upadkiem „pijaczków i ladacznice”, podniosłam się i w bardzo podłym humorze wróciłam jak niepyszna do domu.

Pozostałą część nocy poświęciłam na próby namówienia mojego zmaltretowanego ciała, by pokrzepiło się odrobiną chleba z serem. Następnie wykapałam się, zmieniłam brudną suknię na prosty i równie skromny brązowy kostiumik (w sam raz dla sawantki), aż wreszcie, kiedy na zewnątrz zaczynało już świtać, zasiadłam jeszcze raz przy biurczku, by po raz kolejny zmierzyć się tajemnicą kryptogramu z krynoliny. Niestety, nic to nie dało – nie dostrzegłam w układzie kropek i gwiazdek żadnej logiki.

Pozostał do sprawdzenia już tylko jeden trop.

Kiedy wybiła najwcześniejsza godzina, o której można było złożyć komuś wizytę towarzyską, znalazłam się ponownie w Mayfair na progu rezydencji Florence Nightingale. Tym razem wpuściła mnie – bez zbędnych formalności – dziewczyna w jedwabiach. Wyglądało na to, że dom był otwarty dla każdego, kto zapukał do drzwi. Mimo że było tuż po dziewiątej rano, bawialnię, jadalnię, bibliotekę i inne pomieszczenia parteru wypełniał spory i gwarny tłumek gości raczących się herbatką i kruchymi babeczkami. Dostrzegłam też biegnącego po schodach „szałaputa” spieszącego, aby doręczyć komuś wiadomość.

Doprawdy, przedziwne domostwo.

Miałam cichą nadzieję, że tego dnia nie zabawię tu zbyt długo. Od razu skierowałam się do salonu od frontu opuszczonego na czas śniadania. Tego, którego ściany przyozdobiono portretami. Olejnymi, fotograficznymi i niemodnymi już, pracowicie wycinanymi z czarnego papieru sylwetkami.

Wśród nich od razu wypatrzyłam znajomy profil i postanowiłam mu się przyjrzeć. Większość tego typu podobizn wygląda – podobnie jak ich modele z wyższych sfer – nieco groteskowo: tu za duży nos, tam wydatny podbródek, tu jedno i drugie wyrosnięte do przesady. Ten portrecik jednak wyróżniał się na plus, gdyż rysy twarzy modelu miały idealne proporcje i były niezwykle przyjemne dla oka. Jak często można natrafić na tak doskonale uformowaną fizjonomię? Tak, można kogoś zidentyfikować na podstawie profilu i właśnie miałam tego dokonać.

Obrazek – niewielkich rozmiarów, jak to zwykle w tego typu wizerunkach bywa – wisiał poza zasięgiem mojej ręki. Dodając sobie animuszu myślą o biednej pani Tupper i nieznanym miejscu jej pobytu, śmiałym krokiem wparowałam do jadalni, chwyciłam najbliższe puste krzesło i wyniosłam je z pomieszczenia. Jak mogłam się tego spodziewać, żaden z bywalców tego dziwnego domu nie wydawał się zaskoczony moim zachowaniem.

Ustawiłam krzesło pod ścianą salonu, wdrapałam się na siedzisko i zdjęłam z haczyka portrecik sylwetkowy. Na jego odwrotnej stronie, zaklejonej szarym papierem, ktoś zanotował dla pamięci personalia modelu.

Napis głosił: „Wielce Szanowny Sidney Whimbrel, Embley, lato roku 1853”.

Rok 1853?

Trzydzieści sześć lat temu?

Czyli żadną miarą nie mógł to być mój arystokratyczny złoczyńca. Cóż za bolesne rozczarowanie.

Ale, ale! Gdzie był teraz Klasyczny Profil? Nie zauważyłam, by mnie ktoś po drodze śledził. Oczywiście, jeśli uznał mnie za wścibską lokatorkę pani Tupper i wmówił sobie, że zmieniłam miejsce zamieszkania, być może stracił zainteresowanie moją osobą.

Niezależnie od tego, co go wcześniej we mnie tak zafrapowało.

Bez względu na to, kim był.

I tak mój plan identyfikacji złoczyńcy na podstawie portretu sylwetkowego spalił na panewce.

Z ciężkim westchnieniem wstałam, by odwiesić obrazek na haczyk. Kiedy jednak w tej samej

chwili do salonu weszła grupka dyskutujących żywo osób, wpadłam w panikę i wsunęłam portrecik do starej skórzanej torby, z którą się od rana nie rozstawałam. Adepci wiedzy noszą w takich teczkach skrypty i notatki, ja jednak – ponieważ pojemność mojego uzdatniacza biustu była ograniczona – upchnęłam w niej rzeczy, których pozostawienie w domu pani Tupper zakrawałoby na lekkomyślność, na przykład kłęb pewnych wstążek ozdobionych haftem.

Opuszczając salon, stanęłam na wprost wejścia do biblioteki, gdzie uśmiechnięta, acz budząca respekt pani Crowley trzymała straż, siedząc za biurkiem.

Pomyślałam, że nic złego się nie stanie, jeśli podejmę kolejną próbę dotarcia do panny Florence Nightingale. Szczerze mówiąc, nie miałam zbyt wielkiego pola manewru. A jednak czułam, że ten zamiar już na wstępie będzie skazany na niepowodzenie, ponieważ mój dar przekonywania nie był na tyle rozwinięty, by umożliwić mi odbycie rozmowy z urzędującą na wysokościach Damą z Lampą. Z wielkimi oporami przekroczyłam zatem próg biblioteki, by podejść do pani Crowley, napisać kolejny liścik, poprosić o doręczenie go na górę, by następnie...

Niech to wszystko jasny piorun strzeli! Niech tę całą Florence Nightingale drzwi ścisną! Ależ musi z niej być kawał rozkapryszonej, przewrotnej, niezdolnej, apodyktycznej baby! Jej skomplikowany system komunikacji za pośrednictwem liścików to jedna wielka strata czasu. Skoro kobieta wydawała się posiadać środki finansowe i postanowiła grać rolę niedostępnej inwalidki, z którą nie można normalnie porozmawiać, jednocześnie zaś trzymała rękę na pulsie i włączała się we wszystkie ważne działania reformatorskie, to dlaczego nie zainstalowała w domu jakiegoś wyciągu linowego do szybkiego przesyłania listów albo poczty pneumatycznej, która tak dobrze funkcjonowała w domach towarowych. Albo jeszcze lepiej – na samą myśl o absurdalności tego pomysłu odczułam pełną jadu satysfakcję – mogłaby sobie zafundować stację telegraficzną. Skoro wielka panna Florence upiera się, by zalegać w piernatach i rozsyłać z wyżyn swojej sypialni listy, równie dobrze mogłaby je wystukiwać klawiszem dalekopisu: „Ti-ti, ta-ta. Ti-ti...”.

Nagle olśnienie przeszło mnie całą, od stóp do głów – był to zapewne także impuls elektryczny – i stanęłam jak wryta.

– O bogowie w cerowanych skarpetach! – wykrzyknęłam głośno. – Kod Morse’a!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jak można się było spodziewać, niejedna głowa odwróciła się w moją stronę. Skupiłam całą swoją siłę woli, by ich nie zaszczycić spojrzeniem, po czym z gorączkowym pośpiechem, korespondującym z ogniem na moich policzkach, podreptałam do położonego w głębi regału, na którego półkach pyszniły się rozpoznawalne z daleka dostojne tomiszcza *Encyklopedii Brytyjskiej*. Pochwyciwszy wolumin z literą M na grzbiecie, usiadłam przy najbliższym wolnym stoliku. Pozostali czytelnicy na wszelki wypadek odsunęli się nieco dalej z przestrachem. Drżącymi palcami przerzucałam kartki, aż trafiłam na hasło:

„Międzynarodowy kod Morse’a wykorzystuje krótkie i długie dźwięki zapisywane w postaci kropek i kresek”.

Tak! Instynktownie wyobraziłam sobie różyczki jako kropki. Proste, pięciopłatkowe kwiatki to z pewnością odpowiedniki kresek. Wyciągnęłam z torby karteczkę z ciągiem znaków ***/*.*/*** i tak dalej, po czym, posługując się zamieszczoną w encyklopedii tabelką, której kopię łaskawy czytelnik znajdzie na końcu tej książki (zamieszczam ją dla jego rozrywki i rozwoju), zaczęłam odszyfrowywać kolejne litery. Nie było to łatwe, ponieważ wiązało się z wyszukiwaniem kolejnych kombinacji znaków w tabelce.

Kreska kreska: M. Potem listek oddzielający M od kolejnej litery.

Kropka kreska: A. I kolejny listek.

Kreska kreska: M. Listek. Dwa listki?

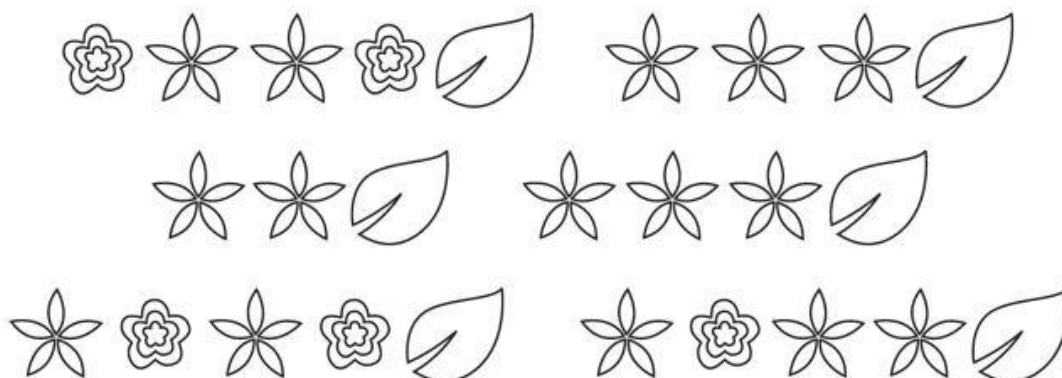
Koniec słowa!

MAM. Mam!

Po dłuższej chwili odszyfrowałam pięć pierwszych słów: MAM DOWODY WREFORD UPLŹYNNIA DOSTAWY. Jednak większość tekstu pozostawała nadal tajemnicą. Stanęłam przed wyborem: czy spędzić w bibliotece kolejnych kilka godzin, ryzykując, że biedną panią Tupper spotka coś złego, czy od razu rozmówić się z panną Nightingale? Ponieważ nagle poczułam, że znalazłam sposób na osiągnięcie tego, co do tej pory było niemożliwe.

Wybrałam drugi wariant. Wrzuciwszy do torby plik notatek i ołówek, podeszłam do tkwiącej za biurkiem nieprzejednanej pani Crowley. Tym razem po wyrażeniu chęci spotkania się z panną Nightingale, uśmiechnęłam się i przyjąłam bez szemrania wręczony mi przenośny blacik z kartami kremowego papieru i granatowym atramentem.

Jeśli stwierdzę teraz, że zaczęłam pisać, minę się nieco z prawdą. Zaczęłam kreślić kształty. Albo rysować. Szybciutko i bez ozdobników przeniosłam na papier co następuje:



Osuszywszy nadmiar atramentu, złożyłam kartkę z tą lakoniczną i niepodpisaną wiadomością na pół i przekazałam ją do doręczenia młodzianowi w pumpach, po czym podeszłam do schodów i czekałam.

Po niespełna minucie Szalapat (już nie potrafiłam go inaczej nazywać) zbiegł truchcikiem ze

schodów i z miną wyrażającą niedowierzanie oświadczył:

– Panna Nightingale prosi panią na pokoje. Proszę za mną.

Już po paru chwilach przekonałam się, że wszystkie moje domysły na temat niezwyklej Florence Nightingale były niewarte funta kłaków. Na najwyższym piętrze domu, w przestronnym pomieszczeniu zalanym słońcem wdzierającym się przez odsłonięte okna, ujrzałam pulchną, uroczą, uśmiechniętą piękność w dawnym stylu, siedzącą na wielkim łożu zarzuconym obficie, acz ze smakiem poduszkami obszytymi falbaneczkami, okrytą jedwabną puchową pierzynką. Włosy, rozdzielone pośrodku przedziałkiem i zaczesane gładko do tyłu, jak w czasach młodości, były wciąż nieskalane siwizną! Osoba ta promieniała blaskiem równie jasnym jak zalewające jej sypialnię światło słońca. Do pokoju nie dochodziło nawet najmniejsze echo panującego dwa piętra niżej rozgardiaszu. Jedynym zakłócającym ciszę dźwiękiem był śpiew ptaków za uchylonym oknem wychodzącym na urządzone z tyłu rezydencji ogród. Florence Nightingale stworzyła sobie mały idylliczny raj w samym środku gwarne go centrum londyńskiego Westminster City.

Przywitała mnie z idealnie dostrojonym do tej sielskiej atmosfery spokojem.

– Proszę, niech się pani rozgości. – Wskazała na ustawiony w nogach łożka fotel znajdujący się w przyjemnej bliskości okien. Przyglądała mi się z nieukrywaną ciekawością, kiedy przechodziłam obok zanózka, aby usiąść. – Spodziewałam się kogoś o wiele starszego – oświadczyła. – Ze względu na to. – Podniosła kartkę, na której wypisałam kwietnym kodem Morse’a wołanie o pomoc. – Skąd pani wie o moich różyczkach i stokrotkach? Ale przede wszystkim chciałabym wiedzieć, jak się pani nazywa.

Zadziwiająco. Była ujmująco grzeczna, a jednak mówiła prosto z mostu i nie traciła czasu. Dzięki temu łatwiej mi było wyznać jej prawdę.

– Każde nazwisko, które mogłabym pani podać, musiałyby być zmyślone, a w tej chwili nie czuję się na siłach prowadzić gry pozorów.

Pokiwała głową ze zrozumieniem, jakby usłyszała całkiem zadowalającą odpowiedź. Jej osobliwe nakrycie głowy – podkreślająca nieskazitelny blask i symetrię włosów zawiązana pod brodą biała chustka, zsunięta mocno do tyłu i spływająca koronkową kaskadą poniżej kołnierzyka welurowej peleryny – przytaknęło razem z nią.

– Widzę, że jest pani bardzo czymś przejęta – zauważyła miękkiem tonem. Jak miałam się później dowiedzieć, słyneła z tego, że nigdy nie podniosła na nikogo głosu, nawet podczas pobytu na Krymie. – Odnoszę wrażenie, że przyczyna pani zmartwienia ma związek ze mną.

– Jest to prawdopodobne – odparłam i bez dłuższych wstępów oraz w możliwie największym skrócie przedstawiłam jej okoliczności uprowadzenia pani Tupper, począwszy od liściku z tekstem: GOŁĘBIU POCZTOWY, DOSTARCZ NATYCHMIAST WIA-DOMOŚĆ OD PTASIEGO MÓZDŻKU ALBO POŻAŁUJESZ, ŻE OPUŚCIŁAŚ KIEDYŚ SCUTARI. Wprawdzie najeżone kolcami pismo zniknęło wraz z moją nieszczęsną gospodynią, jednak słowa wryły mi się w pamięć. Dodatkowo Florrie upierała się, że brodaci napastnicy wykrzyczeli do pani Tupper: „Wiemy, że szpiegowałaś dla Ptaszyny!”.

– Rzeczywiście, moi przeciwnicy nazywali mnie Ptaszyną – wtrąciła panna Nightingale – i przedstawiali mnie jako kobietę ptaka na ośmieszających mnie rysunkach w prasie – ciągnęła, nie patrząc na mnie, bo zajęła się nagle szukaniem czegoś i odwróciła się do mnie plecami.

Muszę tu wyjaśnić, że zagłówek jej łożka był w istocie pojemnym – jak się domyślałam – wykonanym na zamówienie sekretarzykiem z mnóstwem przegródek, w których rozmieszczono we wzorowym porządku najrozmaitsze papiery i dokumenty. Obok łożka stał przykryty zielonym sukmem stolik, na którym piętrzyły się wokół lampy elektrycznej – tak, elektrycznej! – stosy pism. Doprawdy, był to dom pełen niespodzianek. Najwyraźniej ta zapalona orędowniczka reform postanowiła nie liczyć się z kosztami, by zapewnić sobie możliwość pisania tekstów do późna w nocy. Zauważyłam, że jej dłonie, świadczące o wieku dobitniej niż gładka twarz, były przykurczone w dwa półksiężyce, co potwierdzało, że rzadko wypuszczała pióro z ręki.

Znalazłszy to, co chciała, odwróciła się do mnie i pokazała mi kartkę, na której widniały słowa: Starsza kobieta została uprowadzona przez bandytów... i tak dalej, czyli liścik, który jej posłałam poprzedniego dnia.

– Tak – przyznałam się. – To moje pismo.

– A ja odpowiedziałam na nie, pisząc prawdę, moja droga. Po prostu nie pamiętam żadnej pani Tupper.

Pogrzebawszy w swojej przepastnej torbie, wyciągnęłam z niej ślubne zdjęcie mojej gospodyni. Spakowałam je, przeczuwając, że może się przydać.

Panna Nightingale spojrzała na fotografię i jej pełne łagodności wargi ułożyły się w literę O – znak zaskoczenia.

– Czy teraz ją sobie pani przypomina?

– Oczywiście, moja droga, tak. Zapomniałam o niej, ponieważ nie należała do grona moich stałych posłańców. Powierzyłam jej misję tylko raz, w sytuacji kryzysowej, ale wiadomość nie dotarła do adresata. Nie udało mi się ustalić dlaczego ani jaki los spotkał tę dziewczynę.

– A więc była pani szpiegiem? – wyszeptałam z podziwem.

– Oficerowie brytyjskiej armii – wyjaśniła łagodnie – próbowali ze mną walczyć z racji tego, że byłam kobietą i cywilem. Wkładali w to więcej zaangażowania niż w nękanie rosyjskiego wroga. Musiałam się bronić.

– Myślałam, że pani i jej pielęgniarki pojechałyście tam z misją pomocy wojsku.

Uśmiechnęła się smutno.

– Tak było, ale zarówno lekarze, jak i oficerowie traktowali moje działania jak wtrącanie się w ich sprawy i widzieli w nich zagrożenie dla obowiązującego tam trybu życia wypełnionego balami, piknikami, turniejami polo, wyścigami konnymi i wszelkimi innymi rozrywkami. I nie mylili się. Sprzeciwiłam się temu, głosząc zwariowane tezy o oficerach, którzy powinni raczej wykorzystać ten czas na zapewnienie podwładnym godziwych warunków, czy o lekarzach, których miejsce moim zdaniem było przy łóżkach pacjentów.

– Czyżby ich zaniedbywali?

– Lekarze, głównie chirurdzy, celowali w amputowaniu rannym kończyn, jednak unikali wizyt na oddziałach dla zakaźnie chorych, ponieważ panicznie się bali zakażenia śmiertelną chorobą. Pozostawieni bez dozoru sanitariusze zaniedbywali swoje obowiązki, bywało, że nie przygotowywali żadnych posiłków dla pacjentów. A ci, opuszczeni przez wszystkich i zdani wyłącznie na towarzystwo innych rannych, leżeli we własnych odchodach, zżerani przez gnieźdzące się w kocach wszy... – Panna Nightingale przerwała nagle i spojrzała na mnie nieprzytomnym wzrokiem, jakby budząc się z tragicznej przeszłości w równie niepokojącej teraźniejszości. – Proszę mi powiedzieć, bezimienna przyjaciółko, co się stało z wiadomością, którą próbowałam przekazać na ręce lorda Whimbrela?

Powtórzyłam jak echo:

– Lorda Whimbrela?

– Tak, Sidneya Whimbrela, prawdziwego męża stanu i mojego największego sprzymierzeńca.

Doprawdy, nader ciekawy zbieg okoliczności, właśnie oglądałam jego portrecik.

Panna Nightingale mówiła dalej:

– Każdą reformę wdrażano przy jego czynnym udziale, miał wielki posłuch u królowej. Już od lat nie żyje, jednak musimy chronić jego dobre imię... Czy pani zna treść tej zaginionej wiadomości?

– Jeśli ma pani na myśli wstążki, które przyfastrygowano do krynoliny pani Tupper, to udało mi się je przejąć.

Siedząca do tej pory w wyprostowanej pozie Florence Nightingale opadła niespodziewanie na poduszki, przypatrując mi się bacznie. Ze znajdującego się piętro niżej saloniku muzycznego rozległy się przyjemne dźwięki fortepianu, ktoś grał Mozarta.

– Przebiegła z pani istota – stwierdziła po chwili panna Nightingale, wymawiając słowa tak, że nie wiadomo było, czy to pochwała, czy przygana. – Doskonale. Ma pani wiadomość, która dziwnym trafem zawieruszyła się w drodze do adresata. Pragnęłabym ją odzyskać, żeby zapobiec skandalowi.

– Skandalowi?

– Reformy, którym poświęciłam całe swoje życie, wreszcie doczekały się aprobaty i czekają na wprowadzenie. Dawne animozje poszły w niepamięć, dlatego byłoby fatalnie, gdyby ktoś nagle obudził upiory przeszłości. Co mogłoby panią skłonić do...

– Nie interesuje mnie polityka. Chcę się tylko dowiedzieć, kto uprowadził panią Tupper!

– Ależ nie mam najmniejszego pojęcia, kto to może być. I pragnę zdobyć tę wiedzę na równi z panią, bo gdyby ujawniła tej osobie, że wiadomość...

– Pani Tupper – przerwałam, a narastające zdenerwowanie sprawiło, że zaczęłam mówić podniesionym tonem, jakże kontrastującym ze słodkim brzmieniem głosu mojej rozmówczyni – jest w wysokim stopniu dotknięta głuchotą, więc będzie jej niezmiernie trudno zrozumieć, czego porywacze mogą od niej chcieć. Straciła sporą część słuchu, zanim jeszcze powierzyła jej pani swoje pechowe różyczki i margerytki.

– Ojej. – Przez twarz panny Nightingale przemknął nagle cień emocji. – Wykazałam się głupotą, że tego nie zauważyłam. Ale przecież dałam jej wizytówkę z adresem...

– Z trudem czyta duże litery, odręcznego pisma wcale.

– Wielkie nieba. Ale ja zakładałam... Gdzie ja miałam głowę?

Łagodząc nieco gniewny ton głosu, oświadczyłam:

– Wyobrażam sobie, że miała pani wówczas na głowie mnóstwo pilniejszych spraw. Tak czy inaczej, skoro do pani Tupper nie dotarło ani jedno słowo z tego, co pani jej mówiła, możemy śmiało założyć, że ani nie wiedziała, jakie jest przeznaczenie wizytówki, ani przez głowę jej nie przeszło, że powierzono jej jakąś wiadomość. W tej chwili szubrawcy tną na kawałki błękitną suknię, którą jej pani wręczyła, w poszukiwaniu jakiejś wiadomości na papierze. Proszę mi powiedzieć, kim są ci ludzie.

Florence Nightingale ponownie zapewniła, że nie wie.

– A może pokusi się pani o jakieś domysły?

– Ponieważ młody lord Whimbrel ma właśnie stać się członkiem Izby Lordów, przypuszczam, że jego wrogowie usiłują zdobyć coś, co okryłoby jego rodzinę niesławą. Ale równie prawdopodobne jest to, że działania podjęli przyjaciele lub potomkowie któregoś z oficerów wymienionych w wiadomości. Doprawdy, trudno mi wskazać zamieszaną w tę sprawę osobę, która nie byłaby zainteresowana odszukaniem tego dokumentu, sama też do nich należę.

Jej wyznanie było tak rozbijające, że nabrałam przekonania o jej niewinności.

– Naprawdę nie mam pojęcia. Ale o wszystkim się dowiem. – Ostatnie zdanie wypowiedziała tonem niezależnej kobiety, która przywykła do tego, że robi w życiu, co chce. – Poczytałam już w tej kwestii stosowne kroki.

– Jakie?

– Kiedy wczoraj przyniesiono mi liścik od pani, zaniepokoiłam się nie na żarty. Mimo że nie potrafiłam przywołać w pamięci pani Tupper, ta sprawa nie dawała mi spokoju. Wreszcie przypomniałam sobie o istnieniu pewnego okrytego sławą prywatnego detektywa i dziś rano kazałam po niego posłać. Lada chwila powinien się tu zjawić.

Poczułam na gardle zaciskające się niewidzialne palce. Zorientowałam się też, że panna Nightingale z zaciekawieniem przygląda się mojej reakcji. Na jej twarzy malowały się współczucie i ciekawość.

– Kto to? – wysapałam z trudem.

– Mogłabyś mi się przedstawić, moja droga, bo i tak w końcu się dowiem, kim jesteś. Dżentelmen, o którym mowa, z całą pewnością każe mi to ustalić. Chcę zatrudnić pana Sherlocka Holmesa.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Mojego brata! Który może tu w każdej chwili wejść! A jeśli mnie tutaj zastanie...

Łaskawy czytelnik zechce sobie przypomnieć, że byłam w bardzo kiepskim stanie wskutek niedożywienia i braku snu. Jednak prawda jest taka, że nie da się niczym usprawiedliwić tego, co zrobiłam. Powinnam podejść do zagadnienia logicznie i racjonalnie. Ale tak nie postąpiłam.

Z rumieńcem wstydu przyznaję się, że – nazywając rzecz po imieniu – spanikowałam. Skoczyłam z piskiem na równe nogi. Nie miałam żadnego planu działania, kierował mną wyłącznie podświadomy nakaz ucieczki z tego domu. Bez słowa wyjaśnienia czy pożegnania okrążyłam łóżko panny Nightingale i rzuciłam się do drzwi...

Nagle panna Nightingale całkiem zręcznie odrzuciła przykrywające ją piernaty i wyskoczyła z łóżka. Jej pulchne nagie stopy, nad którymi zakołysał się obrębiony koronką rąbek koszuli nocnej, odbiły się od podłogi jak od bloków startowych. W kilku susach dopadła zamkniętych drzwi, nim ja zdołałam to uczynić, i zaparła się o nie plecami.

Nie spodziewając się tego, że przykuta do łóżka inwalidka zagrozi mi drogę ucieczki, zgłupiałam. Zdumienie kazało mi poniechać bezsensownej rejterady i stanęłam jak wryta pośrodku pokoju.

– Co cię tak wystraszyło, moja droga? – spytała panna Nightingale.

W tym samym czasie z moich ust wyrwało się pytanie:

– Dlaczego udaje pani przykutą do łóżka, skoro ma pani pełną władzę w nogach?

– O niebiosa, bezczelność młodych przechodzi wszelkie pojęcie! – Jej cichy głos nie stracił ani odrobiny ze swej słodyczy. – Wróc, proszę, na fotel, a ja spróbuję ci to wyjaśnić.

Byłam tak speszona, że potulnie spełniłam jej żądanie.

– Kiedy przybyłam do kraju po niemal dwóch latach nadludzkiej wysiłków na Krymie – powiedziała pani domu, moszcząc się z powrotem w pościeli – podupałam na zdrowiu i byłam przekonana, że niebawem umrę. – Bardzo racjonalne oczekiwanie, zważywszy że w tamtym czasie była już po trzydziestce. – Jednak mijały kolejne tygodnie, które składały się na kolejne miesiące, a te przechodziły w kolejne lata, a ja nie dość, że żyłam, to jeszcze zaczęłam ponownie angażować się w walkę o jakże potrzebne reformy. Było tyle ważnych spraw do załatwienia...

Ponieważ i ja byłam buntowniczką, zrozumiałam od razu.

– Nie chciała pani marnotrawić czasu na życie towarzyskie. – Kobiety z jej pozycją musiały składać wizyty, przebierać się do kolacji, bawić gości, bywać w teatrze, i tak dalej *ad infinitum*, tracąc najlepsze lata życia na wcielanie się w rolę bezużytecznych, za to ozdobnych przedmiotów.

– Właśnie. – Spojrzała na mnie inaczej niż dotychczas. Oto nawiązała się między nami nie porozumienia. – Teraz, kiedy zdradziłam ci swój sekret, musisz mi wyjawić to, co ukrywasz. Dlaczego nie chcesz zdradzić swojej tożsamości i z jakiego powodu aż tak się przerażałaś Sherlocka Holmesa?

Powiem szczerze, że korciło mnie, by wyznać jej prawdę. Sherlock Holmes był moim uwielbianym bratem i nie zamieniłabym jego towarzystwa na czyjekolwiek inne. Sherlock i Mycroft byli moimi jedynymi – jeśli nie liczyć nieobecnej matki – krewnymi, a jednak zaślepieni męską ignorancją czuli się w obowiązku roztoczyć nade mną kuratelę i uwięzić mnie na pensji dla panien czy w innym miejscu kaźni dla zniewolonych kobiet. Dlatego nie powinnam, nie mogę, nie wolno mi dopuścić do tego, by wpadli na mój ślad.

Bardzo chciałam poinformować o tym wszystkim mądrą i łagodną Florence Nightingale, ale wiedziałam, że to niemożliwe. Odpowiedziałam więc wymijająco:

– Z przerażeniem myślę, że mógłby się o mnie dowiedzieć. – Było to mniej więcej zgodne z prawdą, jednak wysilałam gorączkowo mózg, żeby uzupełnić to jakąś wiarygodną bajeczką. Niestety w tak naglącej potrzebie wyobraźnia zawiodła mnie na całej linii. Nie miałam pojęcia, co dalej powiedzieć.

Ku mojemu zdziwieniu w sukurs przyszła mi panna Nightingale. Usłyszałam jej łagodny, słodki głos:

– Mam wrażenie, że twoja troska o panią... eee... Tupper jest nieco przesadzona. O ile pani

Tupper jest jedynie właścicielką wynajmowanego pokoju.

Wielkie nieba. Pewnie uznała, że jestem nieślubnym dzieckiem usiłującym uchronić swojego ojca (najprawdopodobniej arystokratę) przed piętnem romansu z...

Panią Tupper. Absurd. Biedna, głucha, oszczędna pani Tupper moją matką?

Ale może nie do końca absurd, bo prawdą jest, że uroczą stareńką gospodyni matkowała mi lepiej niż moja własna rodzicielka...

Moja mama, z którą straciłam kontakt wiele miesięcy temu, po sprawie złowieszczych bukietów. Mama, której nie śmiałam szukać w obawie, że ją znajdę i dowiem się, jakie naprawdę żywi względem mnie uczucia, jeśli w ogóle... Nawet nie musiałam kłamać. Ukryty na dnie serca żal nagle obudził się w tak dojmujący sposób, że łzy napłynęły mi do oczu i ku swemu zaskoczeniu rozbeczałam się. Płynące po policzkach łzy wystarczyły za odpowiedź.

Obdarzona zmysłem praktycznym panna Nightingale od razu sięgnęła do szuflady stolika nocnego, gdzie zapewne trzymała spory zapas starannie wyprasowanych, obrębionych koronką chusteczek do nosa. Wręczyła mi jedną z nich.

– Moja droga – pospieszyła ze słowami otuchy, kiedy nieco się uspokoiłam – pan Sherlock Holmes słynie z wielkiej dyskrecji.

Jeszcze raz potrząsnęłam głową, wstałam (tym razem pamiętałam o zabraniu torby na ramię) i powiedziałam:

– Zechce mi pani wybaczyć.

Była tak uprzejma, że zechciała.

Będąc nadal niezbyt przytomna duchem, podreptałam w kierunku schodów.

Fatalny błąd. Trzeba było poszukać na zapleczu wąskiej klatki schodowej przeznaczonej dla służby, prowadzącej przez kuchnię do ogrodu. Ale byłam naprawdę bliska utraty zmysłów, więc jak głupia gęś wracałam na dół po własnych śladach. Zeszłam piętro niżej, minęłam salon muzyczny i bawialnię, po czym skierowałam się ku szerokiemu reprezentacyjnemu zejściu wiodącemu na parter.

– Ale panna Nightingale jest obecnie zajęta. Zresztą nigdy nie przyjmuje jednocześnie więcej niż jedną osobę – perorował ktoś na dole.

– W tym przypadku będzie musiała uczynić wyjątek – odpowiedział ostry, doskonale mi znany głos.

Przerażenie i szybka decyzja o zatrzymaniu się sprawiły, że omal nie upadłam. Przywarłam do poręczy, nagle wyzuta z sił.

– Watson jest moją prawą ręką w tego typu sprawach.

Sherlock! I poczciwy doktor Watson, rzecz jasna. Obaj stali na dole schodów, a Szałaput usiłował im wyklarować, że jedynie Sherlock może być dopuszczony przed oblicze pani domu.

A w połowie schodów, nie więcej niż dwadzieścia stóp od nich, stałam ja – w całkowitej rozsypce, z rozdziawionymi szeroko ustami.

Doktor Watson, za co poczułam się dożgonnie wdzięczna swoim szczęśliwym gwiazdom (gdyby spojrział w górę i rozpoznał we mnie „sekretarkę” doktora Ragostina, moje życie w tym wcieleniu dobiegłoby końca), w ogóle mnie nie zauważył. Stał jak zahipnotyzowany z oczami wbitymi w otwarte drzwi salonu. Być może podziiałała tak na niego obecność pana Gladstone’a.

Jednak sokoli wzrok Sherlocka okazał się niezawodny.

– Enola?! – zakrzyknął uniesionym głosem z nagłym ożywieniem.

Nie mogłam oderwać od niego oczu, zarazem jednak nie mogłam tam pozostać. Zaczęłam się cofać, niezgrabnie pnąc się tyłem po kolejnych stopniach.

Ale mój brat nie zrobił nawet kroku w moją stronę.

– Enolu! – zawołał. – Stój. Zaczekaj. Zaufaj mi. Bardzo cię proszę.

Przyznam się, że te słowa dotarły do mnie dopiero później jako echo w moim roztargnionym umyśle. Tymczasem oderwałam się od balustrady i czmychnęłam jak spłoszony jelen. Przebiegłam przez bawialnię i salonik muzyczny. Dopiero tam, w stanie najwyższej paniki, przyszło mi do głowy, że należałoby poszukać schodów dla służby. Ale nie mogłam na nie trafić! Minęłam fortepian, minęłam okrągły stół na jednej nodze, otwierałam kolejne drzwi, wbiegałam do kolejnych pomieszczeń,

zmieniałam kierunek ucieczki, trafiałam do kolejnych przedpokoi, a za plecami słyszałam odgłos energicznych kroków Sherlocka i jego głos:

– Enolu! Niech лихо porwie to dziewczuszyko! Gdzie ją poniosło?

Domyśliłam się, że Szałaput nie zdołał zatrzymać mojego brata, a ten rzucił się w pościg za mną. Watson poszedł zapewne w jego ślady. Dwóch na jedną? Ta myśl kazała mi przyspieszyć. Raz po raz rozlegał się łoskot zatraskiwanych drzwi. Najwyraźniej podążali moim śladem.

– Enola!

W tej właśnie chwili zrzędzeniem ślepego losu za kolejnymi drzwiami ukazały się wąskie kręte schody, które niestety nie prowadziły w dół. Nie miałam wyjścia, wbiegłam na nie i po chwili stanęłam ponownie przed drzwiami sypialni Florence Nightingale.

Jak burza wpadłam do środka i zamknęłam za sobą drzwi.

Spod jedwabnej puchowej pierzynki rozległ się cichy i łagodny głosik Florence Nightingale:

– Wielkie nieba, a cóż się znowu stało?

Nie odpowiedziałam. Zauważywszy tkwiący w dziurce klucz, przekręciłam go, uniemożliwiając innym osobom wejście. Potem pognałam w stronę potężnego łoża panny Nightingale i skierowałam się ku oknom, z których widać było czubki rosnących w ogrodzie drzew. W biegu rozpięłam pasek i przełożyłam go przez uchwyt torby. Na całe szczęście w tym stadium przerażenia przestałam się trząść. Stałam się zwinna i pełna energii. Błyskawicznie zapięłam z powrotem pasek, w ten sposób przytroczywszy bezcenną torbę do talii, następnie oceniłam swoje widoki na ucieczkę. Po krótkiej chwili wybrałam jedno z okien i otworzyłam je na oścież.

– Enola! – rozległ się za drzwiami głos mojego brata, a za chwilę usłyszałam, jak szarpie za gałkę.

Panna Nightingale mogła, rzecz jasna, coś do niego zawołać, ewentualnie dzwignąć się z łóżka, podejść do drzwi i przekręcić klucz, by go wpuścić. Jednak tego nie zrobiła. Leżała, obserwując – jak się domyślam – z zaciekawieniem rozwój wypadków.

Wgramoliłam się na parapet, pochyliłam się i skoczyłam jak mała na najbliższy konar.

Palce natrafiły na korę drzewa, dłonie odruchowo zacisnęły się wokół gałęzi, a ja zawisłam, dyndając trzy poziomy nad ziemią. Być może zejście na dół mogłoby się wydać problematyczne, jednak wyobraźnia podsuwała mi o wiele gorsze perspektywy, więc nie traciłam czasu na zbędne rozmyślenia. Niczym dziki orangutan kołysałam ciałem, zsuwałam się, opadałam, chwytając się kolejnej gałęzi, opadałam, sunęłam w dół po pniu, aż w końcu zeskoczyłam ciężko na ziemię. Tam przegalopowałam przez warzywniak, dałam nura w tunel porośnięty winoroślą, minęłam wygodkę, przebiegłam przez kępę lip i dotarłam do otaczającego posiadłość panny Nightingale ogrodzenia z kutego żelaza. Przełaząc przez jedno z przęseł, dostrzegłam w górze właścicielkę – jej nietypowo zawiązane nakrycie głowy rozpoznałabym z każdej odległości. Florence Nightingale wychylała głowę z tego samego okna, przez które przed chwilą się ewakuowałam. I choć była zbyt daleko, bym mogła zobaczyć wyraz jej twarzy, odniosłam wrażenie, że śledzi moje poczynania z pełnym spokojem zainteresowaniem. Nie dopatrzyłam się ani Watsona, ani mojego brata.

Dopiero znalazłszy się w bezpiecznej odległości – a konkretnie w wagonie metra, mknącym przez ciemny i zadymiony jak przedsionek piekła tunel – wreszcie znalazłam chwilę wytchnienia i odzyskałam przytomność umysłu na tyle, by zebrać myśli.

Zgroza i zatracenie. Co teraz?

Ze ściśniętym sercem uświadomiłam sobie, że w tej samej chwili Sherlock rozmawia z moją drogą panną Nightingale i oboje zaczynają kjarzyć jedno z drugim. On z pewnością poinformuje ją, że jestem jego zaginioną siostrą. Z kolei panna Nightingale poinformuje go, że zaginiona pani Tupper wynajmowała mi pokój. O niebiososa. Z poczuciem bezsily i beznadziei przesywającym mnie od stóp do głów, zrozumiałam, że nie będę mogła wrócić do domku mojej gospodyni. Sherlock z całą pewnością włączy w harmonogram swego kolejnego dochodzenia ustalenie mojego obecnego adresu.

Czyli zostałam bez dachu nad głową.

Nie miałam dokąd pójść. Bo jeśli mnie śledzono – ponieważ nie mogłam z całą pewnością stwierdzić, gdzie w tej chwili przebywa mój brat, a tym bardziej złowieszczy Klasyczny Profil – nie mogłam ryzykować, że któryś z nich trafi za mną do biura doktora Ragostina.

Nie miałam się gdzie ukryć.

Nie miałam planu.

Już od dawna nie czułam się tak bezradna.

„No nie, Enolu, tak nie można”.

Choć rozlegające się w mojej głowie słowa wypowiedział głos mamy, utożsamiałam się z nimi. Mimo że od wielu miesięcy nie miałam z nią kontaktu, jej pamięć wciąż we mnie żyła.

„Tobie grozi tylko utrata wolności, ale pani Tupper może stracić życie. Najpierw odzyskaj swoją nieszczęsną gospodynię, o sobie zaczniesz się martwić później”.

Wciągnęłam głęboko w płuca haust snującego się w wagonach metra gryzącego powietrza i zamknęłam oczy, by się odciąć od zewnętrznych ciemności.

„A teraz myśl”.

No dobrze.

Kto porwał panią Tupper?

Każda z „zamieszanych w sprawę osób” mogła, zdaniem panny Nightingale, pragnąć zapobiec ujawnieniu dokumentu. Z obawy przed skandalem.

Jakich „zamieszanych w sprawę osób”?

Zamieszanych wskutek jakich wydarzeń? Pani Tupper przeżyła spokojnie ponad trzydzieści lat, trzymając krynolinę upchniętą w szafie. Dlaczego nagle rozpętała się wokół niej afery?

Nie miałam zielonego pojęcia.

A jednak dzięki solidnej skórzanej torbie, którą zdążyłam już odpiąć od paska, miałam w ręku to, co budziło w ludziach mnóstwo emocji.

Najwyższy czas rozszyfrować wiadomość do końca.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Potrzebowałam tabeli z transkrypcją znaków kodu Morse'a.

Tylko gdzie ją znajdę? W Muzeum Brytyjskim? Fuj! Jaskinia obrzydliwych starych przyków. Potrzebowałam bezpiecznej przystani, cichego azylu. Musiałam też – nie skosztowawszy bułeczek u panny Nightingale – jak najszybciej coś przekąsić.

Na szczęście skołowany mózg zaczął znów prawidłowo działać i podsunął mi pomysł tak przyjemny, że aż sama się do siebie uśmiechnęłam. Zanim opuściłam tunel metra na wybranej stacji, wyszukałam odludny zakątek, po czym doprowadziwszy do porządku włosy i garderobę, wyszłam na ulicę i wmieszałam się w tłum pieszych, rozglądając się przezornie dookoła. Nie stwierdziwszy obecności śledzącego mnie złoczyńcy o miłej dla oka fizjonomii ani innego zagrożenia, ruszyłam w stronę pierwszego większego skrzyżowania i przywołałam dorożkę.

– High Street – powiedziała cicho do woźnicy, nie chcąc zdradzać postronnym obserwatorom celu mej podróży.

Po paru chwilach z westchnieniem ulgi przekroczyłam progi pierwszego w Londynie, a być może także na świecie, Klubu dla Pań. Nigdy tam jeszcze nie zaglądałam, ale instytucja ta cieszyła się sporym rozgłosem. Tak jak do męskich klubów nie wpuszczano kobiet, tak do tej małej twierdzy nie mieli wstępu mężczyźni. W przeciwieństwie jednak do męskich klubów, do których można się było dostać tylko na podstawie rekomendacji należących do niego członków, Klub dla Pań hołdował bardziej demokratycznym zasadom i przyjmował każdą istotę płci żeńskiej, którą było stać na wpisowe. Opłata była na tyle wyśrubowana, by odstraszyć przedstawicielki mniej reprezentacyjnych klas społecznych.

Kiedy wypisałam czek i otrzymałam swoją kartę członkowską, przeszłam głębiej. Przyjrzałam się wygodnie urządzonej pomieszczeniom tej świątyni wiedzy, przywitałam się skinieniem głowy z niektórymi jej członkiniami (zauważyłam, że młodsze z nich były ubrane podobnie do mnie), zamówiłam herbatę i kanapki, po czym rozsiadłam się w czytelni z tomem encyklopedii zawierającym hasła na literę M.

Kilka godzin, parę herbat i kolejną tacę kanapek później, poniższy zapis

/. **/* ../***/. **/***/ ** ../* ****. **/. **//.. **/***/
 . **/* ..** .. **/* .. **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/*
 . **/* **/* **/*** . ****/* **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/*
 **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/*
 /* **/* **/*** . **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/*
 . **/* **/* **/* **/*** . **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/*
 * ../*** ..//. **/* ****/** .. **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/*
 * ...//** ../* ..//. **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/*
 ** ../* **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/*
 ..//. **/* **/* ..**/** . **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/*
 .. **/* **/* **/*** . **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/*
 /* **/* **/* .. **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/*
 . **/* **/* **/* **/*** .. **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/*
 * . **/* **/* **/* **/*** .. **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/* **/*

przybrał taką oto postać:

MAM DOWODY WREFORD UPLYNNA DOSTAWY NA TARGU
 W KONSTANTYNOPOLU APELE DO CRUIKSHANKSA HALLA RAGLANA BEZ ODZEWU
 OFICEROWIE BEZDUSZNI CZERPIĄ ZYSKI GDY ŻOŁNIERZE MARZĄ GŁODUJĄ I KONAJĄ
 BŁAGAM UŻYJ WPŁYWÓW U VR ZROZPACZONA FN

„FN” to rzecz jasna Florence Nightingale, „VR” to Victoria Regina, czyli królowa Wiktorja. Ale Wreford? Cruikshanks? Hall? Raglan?

Lektura hasła „Konflikt krymski” z innego tomu Encyklopedii Brytyjskiej pozwoliła mi ustalić, że Cruikshanks był jednym z generałów, Hall pełnił funkcję naczelnego lekarza sądowego, Wreford wstawił się wołającą o pomstę do nieba nieudolnością jako dostawca wojenny, Raglan natomiast był uroczym, acz pozbawionym jakichkolwiek zdolności dowódcą całego tego bałaganu – ukoronowaniem jego braku wyobraźni była szarża Lekkiej Brygady, w której setki kawalerzystów pognało w galopie na pewną śmierć wskutek błędnie zrozumianego rozkazu.

Kiedy sprawdziłam biogramy swoich podejrzanych, okazało się, że podobnie jak lord Sidney Whimbrel wszyscy czterej już nie żyją i rozmowa z nimi będzie niemożliwa.

Co można w tej sytuacji zrobić?

Nie udało mi się nic sensownego wymyślić, gdyż trudno mi było zachować przytomność umysłu. Chcąc nie chcąc, oczyma wyobraźni (choć powtarzałam sobie, że jest wysoce nieprawdopodobne, by trafił na mój ślad) widziałam przyczajonego Sherlocka Holmesa gotowego rzucić się na mnie, kiedy tylko wyjdę z budynku. Myśli te były tak dokuczliwe, że nie potrafiłam usiedzieć w miejscu. Przechadzałam się po całym gmachu, nie dostrzegając szczegółów gustownie urządzonych w orientalizującym stylu czytelni, saloniku karcianego, herbaciarni, salonu dziennego i tym podobnych, z głową pełną groteskowych wizji, w których główne role grał Sherlock, panna Nightingale, Mycroft, doktor Watson, Scotland Yard, sędziowie w białych perukach i upiorne kierowniczkę pensji dla panien, i tak bez końca.

„Enolu, tak nie można”, skarciłam sama siebie. Musiałam przemyśleć sprawę pani Tupper.

Aby się do tego skłonić, powinnam sporządzić listę.

Przysiadłam więc na pierwszym wolnym miejscu – a była to szykowna, obita perkalem sofa – które udało mi się wypatrzeć w uroczej niedużej bawialni. W pomieszczeniu siedziała grupka starszych pań zajętych pogawędką. Sięgnęłam po papier i ołówek i zaczęłam notować:

Gdzie jest pani Tupper?

Kim jest Klasyczny Profil?

Do kogo należy karetę porywaczy?

Po co zabrano panią Tupper? Z kim miała rozmawiać?

I tak dalej. Początek, jak łaskawy czytelnik zapewne zauważył, nie był wysokich lotów, za co odpowiadały po części panujący w mojej głowie galimatias, a po części rozpraszająca uwagę rozmowa inteligentnych pań o miłych głosach.

Wysoka kobieta z siwymi włosami spływającymi na plecy, w zwiewnej wygodnej sukni uszytej w duchu estetyzmu, mówiła:

– ...jak nasz drogi Rodney, biedaczysko. Dżentelmen ze wszech miar poczciwy i pełen dobrych intencji, który jest jednak całkowicie pozbawiony kręgosłupa, podczas gdy jego młodszy brat...

– Zastanawiające – wtrąciła inna ze śmiechem – jak teoria ewolucji wytłumaczyłaby fakt, że starszy brat jest u władzy, chociaż młodszy ma po temu większe predyspozycje.

– Ewolucja nie ma tu nic do rzeczy. To wina naszych bzdurnych zasad primogenitury.

– Doprawdy, szkoda – stwierdziła kolejna ze starszych kobiet. – Rodney robi niemal wszystko, co mu podszeptnie Geoffrey, a słyszałam, że siła charakteru tego drugiego jest w istocie siłą paskudnego charakterku.

Dlaczego przysłuchiwałam się ploteczkom, którymi wymieniały się nieznane mi osoby, zamiast skupić myśli na swoich sprawach? Jednak nie przestawałam strzyć uszami. I choć rozsądek nakazywał mi się przenieść do cichszego pomieszczenia, nie ruszałam się z miejsca.

Do rozmowy włączyła się kobieta obdarzona ciepłym, dojrzałym głosem:

– Tak, jego kochana matka miałaby powód do zgryzoty. Pamiętajmy jednak, że w tym rodzie dobre cechy charakteru dziedziczyło się w linii żeńskiej.

– A czyż to nie jest normą w każdej cywilizowanej rodzinie?

Rozmówczynie parsknęły śmiechem.

Potem siwowłosa zwolenniczka estetyzmu wypowiedziała słowa:

– A skoro już mowa o zacnych rodach i takich charakterach, czy któraś z was słyszała coś nowego na temat lady Eudorii Holmes?

Mówiły o mojej matce! Wymieniły jej nazwisko w tak naturalny, niezobowiązujący sposób... Poczulałam w sercu bolesny skurcz. Przez chwilę nie mogłam oddychać, świat wokół mnie zawirował i byłam bliska omdlenia. Nonsens, jeszcze nigdy nie zemdlałam. Tym bardziej że od tej pory nie wolno mi było uronić nawet słówka z ich rozmowy. Skupiłam wszystkie swoje siły, by ujarzmić rozszalały puls i urywany oddech. Wyprostowałam się i zaczęłam całkiem świadomie podsłuchiwać, nie śmiałam jednak podnieść wzroku na zajęte pogawędką panie.

– ...słuch o niej zaginął. Zniknęła. Nawet nie wiadomo, czy jeszcze żyje.

– Och, jestem pewna, że żyje i ma się świetnie – wtrącił trzeci dobroduszny głos. – Jest zbyt bezkompromisowa, by położyć się i umrzeć. Wyobrażam sobie, że dała drapaka, jak mawiają młodzi.

Słowa te zostały przyjęte z pełnym aprobaty pomrukiem.

– Mam taką nadzieję – powiedziała siwowłosa dama w zwiewnej sukni. – Mam nadzieję, że w końcu ma szansę prowadzić życie na własnych zasadach.

Te panie były znajomymi mojej matki. Przyjaciółkami mojej matki! Ta prosta myśl i bliskość znanych jej kobiet wywołały we mnie kolejną burzę uczuć. Każda cząstka mojego jestestwa wyła z tęsknoty. Ach, gdybym i ja mogła wierzyć z podobnie niezachwianą pewnością, że mama żyje, ma się dobrze i cieszy się wolnością.

– Być może udała się za granicę – podsunęła myśl dobroduszna niewiasta. – Zawsze marzyły jej się podróże.

A ja nigdy o tym nie wiedziałam!

– Jeśli tak, to miejmy nadzieję, że będzie się trzymała z dala od Bałkanów.

– Czyżby znowu tam wrzało? Zresztą tam to norma.

– Wrze i tam, i tutaj. Słyszałam, że ktoś chce wywołać skandal związany z wojną krymską.

– Znowu? Ale dlaczego ktoś miałby właśnie teraz grzebać w tamtej stajni Augiasza?

– No właśnie. Dlaczego?

– Nie mam najmniejszego pojęcia.

– A może to kolejna sprawa mająca związek z Wrefordem? Odgrzewanie tej plugawej afery byłoby szkodliwe...

– ...dzisiejsze postępowe prądy...

Kiedy rozmowa zesłała na politykę i reformy, mogłam wreszcie przestać nadstawiać uszu. Przegnałam myśli i uczucia związane z mamą (ostatnio nabrałam w tym wielkiej wprawy) i zapisałam, co następuje:

Jaki splot wydarzeń leżał u źródeł tej przerażającej sprawy?

Kto żądał od pani Tupper natychmiastowego dostarczenia wiadomości i z jakiego powodu?

Kto mógłby na tym skorzystać? Wrogowie reform?

Czy ktoś chciał zdyskredytować Florence Nightingale?

Kto mógł wiedzieć, że to właśnie pani Tupper była w posiadaniu wiadomości od Ptaszyny?

I tu zamarłam z ołówkiem uniesionym nad kartką i niewidzącym wzrokiem utkwionym w dali. Oto w końcu padło właściwe pytanie. Kto wiedział o istnieniu krynowego kryptogramu? Powierzono go osobie spoza siatki kurierów Ptaszyny, osobie, która nie miała zielonego pojęcia, co się kryje pod szykowną suknią, którą jej wręczono...

Kto mógł mieć o tym pojęcie? Z całą pewnością nie Wreford, Cruikshanks, Hall czy Raglan! Ani ich spadkobiercy.

Kiedy szyfrowana wiadomość idzie w świat, kto wie o jej istnieniu? Nadawca. A także – najczęściej – osoba, która ją przewozi. Adresat również powinien być świadom faktu nadania wiadomości tak, by móc jej oczekiwać i ją odebrać.

Florence Nightingale wiedziała.

Napisałam:

Panna Nightingale nie pamiętała nazwiska pani Tupper.

Panna Nightingale zleciła Sherlockowi Holmesowi odszukanie pani Tupper.

Wrażenia osobiste: panna Nightingale nie próbowała mnie okłamywać.

Racjonalny wniosek: panna Nightingale jest poza podejrzeniami.

Doskonale. Skoro to nie panna Nightingale zleciła uprowadzenie mojej gospodyni i skoro jest oczywiste, że pani Tupper nie była zleceniodawczynią porwania, pozostaje jedna osoba: lord Whimbrel.

– Ale przecież ten człowiek jest sojusznikiem panny Nightingale... a raczej nim był za życia – powiedziałam na głos, na szczęście szeptem. I żartobliwie dodałam: – Ewentualnie jego duch...

I tu żarty się skończyły. Na własne oczy widziałam osobnika – ba!, byłam przezeń śledzona – tak podobnego do sylwetkowej podobizny zmarłego lorda, że mógłby być faktycznie jego duchem. Ale ponieważ racjonalny świat perdytorystki i naukowczynie negował istnienie zjaw, człowiek, który w środku nocy dokonał włamania, by wynieść błękitną suknię, i który, jak twierdziła Florrie, uprowadził panią Tupper... człowiek ten mógł być spokrewniony z lordem Whimbrem, będąc najprawdopodobniej

jego...

Synem?

„Bzdura”, wpadłam sobie w słowo. Whimbrelowie należeli do czołówki najbardziej zasłużonych i szanowanych brytyjskich rodów. Sama myśl, że potomek Whimbrelów wszedł w konszachty ze zwykłym bandytą, by następnie poturbować i uprowadzić moją przygłuchą starszawą gospodynię, była niedorzeczna.

W takim razie kto jeszcze mógłby za tym stać?

A właśnie... Sama panna Nightingale wspomniała coś o ochronie dobrego imienia Whimbrelów i o tym, że młody potomek rodu został ostatnio przyjęty do Izby Lordów...

Jeszcze jedno: czyż jeden z niedobranej pary złoczyńców, którzy przetrzasnęli dom pani Tupper, nie wspomniał z przekąsem o „jego lordowskiej mości”?

– O, moje gwiazdy i podwiązki! – wyszeptalam, uświadomiwszy sobie, że mimo całej niedorzeczności było to jedyne wyjaśnienie sprawy. – Od tego się zaczęła cała ta zagmatwana afera!

Kilka minut później w zamyśleniu odstawiałam na półkę regału bibliotecznego Klubu dla Pań opasły wolumin *Boylesa*, chowając do kieszeni karteczkę z adresem, wypisanym z tego jakże użytecznego spisu szlacheckich rodów.

Targały mną sprzeczne uczucia – zdziwienie pomieszane z przerażeniem. W tym stanie ducha z mściwą satysfakcją pomyślałam o poglądach osiemnastowiecznych filozofów, Alexandra Pope’a i jemu podobnych, którzy z uporem godnym lepszej sprawy twierdzili, że „wszystko zmierza ku najlepszemu na tym najlepszym z możliwych światów”. Co oznaczało, że śmierć niemowlęcia należało przyjąć z ulgą, ponieważ dziecku byłoby znacznie gorzej, gdyby przeżyło, natomiast sierocińce dla biedoty pękały w szwach w imię wyższych wartości. Lub też – jak w moim przypadku – gdyby się zdarzyło, że chcemy uciec, czy to z potrzeby, czy przed pościgiem, i nie mamy możliwości powrotu i przespania się we własnym łóżku, to jakże cudowna jest myśl, że istnieje miejsce, w którym można przenocować.

Odkryłam też, wśród wielu innych ciekawych informacji, adres miejskiej rezydencji Whimbrelów, gdzie miałam nadzieję zastać panią Tupper.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Whimbrel Hall był białym, zwieńczonym w czterech rogach wieżyczkami, wielkopańskim gmachem położonym w Mayfair. Od domu panny Nightingale dzieliła go zaledwie jedna przecznica. Zapadł zmierzch, a ja – nadal objuczona skórzaną teczką i odziana w ten sam brązowy komplecik, w którym tego ranka wyszłam z domu – stałam na zadrzewionej ulicy w cieniu życzliwego dębu, by przypatrzeć się uważnie budynkowi. Zastanawiałam się, czy to właśnie ten adres widniał na wizytówce powierzonej przed laty pani Tupper w piekle zwanym Scutari.

Zbudowany we włoskim stylu pałac z boniowaniem na narożnikach i rzeźbionymi wspornikami wydał mi się wyjątkowo wdzięcznym obiektem do wspinaczki. Jednakże zaraz zmytygowałam samą siebie za tę myśl, w końcu łaźnię po murach nie zawsze jest najlepszym rozwiązaniem. Choćbym nawet zdołała sforsować ogrodzenie, zmylić czujność psa stróżującego, wdrapać się po ścianie, dostać się do środka, uniknąć zdemaskowania i ujęcia, a nawet zlokalizować panią Tupper, to... co wtedy? Przecież nie wysadzę jej przez okno wieży i nie każę piąć się po murze.

Hm...

Statystycznie rzecz biorąc, w większości trudnych spraw najskuteczniejsze metody wiodące do celu to podstęp lub przekupstwo. W tym przypadku – mieszkańcy domu dysponowali majątkiem i mogli się obejść bez wsparcia finansowego z mojej strony – żadne z tych rozwiązań nie wchodziło w grę. Musiałam zatem przygotować się duchowo do wypróbowania sposobu, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie stosowałam.

Wertując Boylesa, dowiedziałam się, że lord Sidney Whimbrel pozostawił dwóch synów. Nowy lord Whimbrel nosił imię Rodney, jego młodszy brat – Geoffrey.

Nagle rozmowa podsłuchana mimochodem w klubie okazała się niezwykle ważna. Rodney? Geoffrey? To z pewnością nie była przypadkowa zbieżność, zwłaszcza że ten drugi zasiadł niedawno w Izbie Lordów, co czyniło z niego wdzięczny obiekt plotek.

Ponieważ z rozmowy dam wynikało, że Rodney jest sympatyczniejszym z braci, uznałam, że to właśnie do niego powinnam się zwrócić z apelem o uwolnienie pani Tupper. Oczywiście, jeśli młodszy, pozbawiony skrupułów Geoffrey jeszcze nie wyprawił jej na tamten świat! Wzdragałam się na myśl, że którykolwiek z synów lorda Sidneya byłby zdolny do takiej podłości, ale skoro posunęli się do jej uprowadzenia i przesłuchiwania, to...

Do licha z logicznym wnioskowaniem! Serce znów zaczęło mi się ścisnąć z żalu. A jeśli taki tok myślenia prowadzi jednak na manowce? Może się okazać, że zapukam do drzwi Whimbrel Hall tylko po to, by albo wyjść na skończoną kretynkę, albo... już nigdy stamtąd nie wyjść?

„Enolu, musisz być pewna siebie, inaczej cała sprawa weźmie w łeb. Przemyśl to na spokojnie jeszcze raz. Krok po kroku”.

Tak też uczyniłam. Zauważyłam, że nie byłam tam jedynym zapóźnionym przechodniem. Dostrzegłam idącego w moją stronę nieszczęśnika z siwą brodą. Szedł powoli, ze wzrokiem utkwionym w rynsztoku, jakby spodziewał się wypatrzeć coś wartościowego. Nie wyglądał na typowego nędzarza. Wytarte ubranie zdradzało dżentelmena. Był wymizerowany, ale podpierał się laseczką, wysokiego wzrostu, ale brzemień wieku sprawiło, że szedł zgarbiony. Nieprzycinany zarost zasłaniał większość twarzy, reszta pozostawała w cieniu cylindra z krótką główką. Należy tu wspomnieć, że kiedy cylinder eleganta zbyt przesiąknie potem i trafia do handlarza starzyzną, ten odpruwa rondo kapelusza, wycina zabrudzony fragment walcowatej główki, po czym ponownie przyszywa rondo. Nakrycie głowy siwobrodego było doskonałym przykładem tego rodzaju praktyk, poddano je zabiegowi skracania co najmniej trzykrotnie.

Już kiedyś widziałam bardzo podobny cylinder. W pewną mroźną noc, przy ognisku rozpalonym przez zziębniętych bezdomnych w wywleczonej na ulicę żeliwnej wannie. Widziałam tego siwobrodego starca, wprawdzie w nieco innym odzieniu. Oczywiście rozpoznałam go. Kiedy przechodził obok, serce nieposłuszne nakazom umysłu zaczęło trzepotać jak oszalałe, a ja stałam bez ruchu w cieniu dębu, przerażona, że może mnie zobaczyć!

Na szczęście przeszedł drugą stroną ulicy, nie odwróciwszy głowy w moją stronę. Kiedy miałam

już pewność, że pozostałam niezauważona, odważyłam się wypuścić z płuc powietrze.

O niebiosach... Co teraz?

Nie spuszczałam go z oka. Po chwili zniknął za rogiem, podążając wzdłuż kutego ogrodzenia broniącego dostępu do Whimbrel Hall.

Potem, chociaż zniknął mi z oczu, pozostałam w ukryciu. Miałam pomysł, jak wykorzystać jego obecność do przeprowadzenia mojego zamiaru. Musiałam tylko poczekać, by sprawdzić, czy moje przewidywania okażą się słuszne. Wykorzystałam ten czas do uporządkowania faktów:

Lord Rodney Whimbrel zostaje członkiem Izby Lordów.

Zaczyna się martwić, być może zastraszone przez brata, że pewna wiadomość, która nie dotarła ongiś do rąk ich ojca, może zostać ujawniona po latach i okryć go niesławą.

Geoffrey postanawia sterować karierą brata po swojemu. Może liczy na zyski, a może po prostu lubi sprawować nad kimś władzę.

W tym celu, będąc osobnikiem ze skłonnościami do przebywania w podejrzanym towarzystwie i podejmowania niezgodnych z prawem działań, wchodzi w komitwę z pewnym zbirem. Razem podejmują próbę odzyskania zagubionej wiadomości.

Nie znalazłszy jej, wprowadzają panią Tupper.

Lord Whimbrel, „dżentelmen ze wszech miar poczciwy i pełen dobrych intencji”, jest zapewne zbulwersowany czynem brata, jednak będąc jednostką „pozbawioną kręgosłupa”, nie próbuje interweniować.

Ale może ja, Enola Holmes, zdołam go przekonać, by...

Niemal jak na zawołanie zubożały siwobrody dżentelmen pojawił się ponownie w zasięgu mojego wzroku, wychodząc na ulicę zza drugiego rogu kutego ogrodzenia rezydencji.

Tak. Tego się właśnie spodziewałam.

Ale czekałam.

Podstarzały włóczęga, jakby niepomny tego, że wrócił do punktu wyjścia, przekuśtykał ponownie przed frontem budynku i podążył dalej po własnych śladach. Zatem pokręci się w okolicy nieco dłużej.

Miałam bardzo uzasadniony powód do obaw. Przerazała mnie myśl o tym, co zamierzałam za chwilę zrobić. Lecz kiedy szedł powoli w moją stronę, me serce zalała fala ciepła, a na twarzy pojawił się uśmiech.

Wyprostowałam się jak struna i uniósłszy wysoko głowę, wyszłam z ukrycia. Przymaszerowałam na drugą stronę ulicy, przeszłam obok siwobrodego, wymachując energicznie skórzaną torbą. Chciałam mieć pewność, że mnie zauważy, chociaż sama na niego nie spojrzałam. Minąwszy go, skierowałam się w stronę budynku, weszłam po marmurowych schodach, przeszłam przez oświetlony płonącymi łuczycami podest i zastukałam do solidnych mahoniowych drzwi.

Otworzył mi kamerdyner. Omiótł niechętnym spojrzeniem moją staropanieńsko odzianą postać, jakby właśnie zobaczył karalucha. Nie odezwał się słowem.

– Pragnę się widzieć z lordem Whimbrem – oznajmiłam butnie i zanim służący zdołał zaoponować, dodałam szybko: – I jestem pewna, że również on życzyłby sobie spotkać się ze mną.

Brwi kamerdynera wygięły się niebezpiecznie w dwa łuki, jednak moja dumna postura i arystokratyczny akcent zatarły nieco pierwsze niemiłe wrażenie. Na marginesie wspomnę, że obdarzony talentem aktorskim przedstawiciel klas wyższych – jak mój brat Sherlock czy, nie chwaląc się, ja – może z powodzeniem naśladować sposób mówienia dowolnej osoby z nizin społecznych. Jednak w drugą stronę to nie działa, biedak w żaden sposób nie podrobi akcentu arystokraty. O ile mi wiadomo, nikt z niższej klasy nie opanował jeszcze tej sztuki.

Jakość mojej artykulacji sprawiła, że kamerdyner raczył się odezwać:

– Mogę prosić o kartę wizytową?

– Nie posiadam takowej i nie posiadam nazwiska – wyrzuciłam z siebie dramatycznym tonem przeciwioną uprzednio frazę. – Jeśli jednak pozwoli mi pan napisać krótki liścik do jego lordowskiej mości, ten z całą pewnością mnie przyjmie.

Dramatyzm był zamierzoną częścią planu. Twierdzę, że kamerdynerzy, choć starają się to ukryć, mają typowo ludzkie cechy, do których zalicza się ciekawość. Służący, któremu w taki właśnie sposób

przedstawiłam sprawę, zdradzał wszelkie objawy zaintrygowania. Odsunął się na bok i zaprosił mnie gestem do wnętrza Whimbrel Hall.

Olbrzymia sień o marmurowej posadzce i tapetowanych ścianach wiała chłodem i sprawiała wrażenie sali muzealnej. Wnętrze ozdobiono porożami łosi, mieczami samurajskimi, sarkofagami z Egiptu, stojakami na parasole ze słoniowych nóg, wizerunkami odalisek, płaskorzeźbami kupidynów i innego autoramentu osobliwości. Nie było tam żadnego siedziska, więc kiedy kamerdyner, zamiast zaprosić mnie do biblioteki, opuścił mnie, by udać się po przybory do pisania, stanęłam bez ruchu niczym kolejna rzeźba.

Skorzystałam jednak z okazji, by zerknąć na srebrną tacę pełną przeznaczoną do wysłania korespondencji. Tak! Na części kopert widniał adres zapisany czarnym tuszem. Charakterystyczne, najeżone jak kolce litery, od razu rozpoznałam.

Nadawca: *Jaśnie Wielmożny G. Whimbrel. Geoffrey.*

Powstrzymując drżenie, pomyślałam, że wolałabym się z nim nie spotkać.

Pozostałe listy, których nadawcą był lord R. Whimbrel, zaadresowano nijakim charakterem pisma. Sądząc po nim, Rodney był... Hola! Przecież jako lord i par mógł zlecać przygotowanie korespondencji sekretarzowi.

Słyszając kroki kamerdynera, szybko przeniosłam wzrok na etażerkę, na której półkach pyszniły się puchary ze strusich jaj.

Służący w milczeniu ustawił przede mną pulpit do pisania z osadzoną w blacie zapaloną świecą. Miałam do dyspozycji papier, pióro i kałamarz. Mimo to skrzywiłam się z niesmakiem.

– Proszę mi przynieść lak do pieczętowania – rzuciłam władczo i, mam nadzieję, nieco tajemniczo.

– Jakiego koloru, proszę wielmożnej pani? – Jego głos zdradzał rozdrażnienie i pragnienie odwetu.

Z pewnością rozsierdziło go to, że pokazuję mu swoją wyższość. Mogłabym przecież pieczętować złożoną kartkę woskiem ze świecy. Rozeźliła go także myśl, że pozbawię go możliwości ukradkowego zapoznania się z treścią mojego liściku. I wziął na mnie odwet, pytając o barwę laku. Kolory pieczęci miały określoną symbolikę. Kamerdyner rzucił mi wyzwanie, bym ujawniła swoje intencje.

Zauważyłam jednak, że awansowałam w jego oczach, ponieważ zaczął mnie tytułować „wielmożną panią”.

– Czerwonego, rzecz jasna – odpowiedziałam. – Ale niech to będzie czerwień szkarłatna, nie karmazynowa. – Dałam mu szerokie pole do snucia domysłów.

Kiedy udał się po lak, ujęłam pióro i starając się kreślić duże i wyraźne litery, napisałam:

Mam wiadomość od Ptaszyny. Wymienię ją bez zbędnych formalności na panią T. W przypadku odmowy udam się na policję.

Nie podpisawszy się, osuszyłam kartkę bibułą, po czym złożyłam ją na troje, żeby ukryć treść, zanim powracający kamerdyner zdoła zajrzeć mi przez ramię. Wzięłam od niego laseczkę czerwonego laku, roztopiłam końcówkę w płomieniu świecy i przytrzymałam ją nad złożoną krawędzią. Żałowałam, że nie mam sygnetu albo stempla, by docisnąć stygnący lak, co spotęgowałoby dramatyzm przekazu. Trudno, musiałam przyklepać go wnętrzem dłoni. Kiedy stwardniał, wręczyłam liścik służącemu.

Podreptał z nim do swojego pana, a ja stałam, czując na sobie drewniane spojrzenie wiszących na ścianie afrykańskich masek wojennych.

Bardzo długo nie wracał. Zaczęłam się niepokoić, czy aby nie przeliczyłam się z siłami. Może trzeba było zapisać tekst różyczkowo-margerytkowym kodem? Czy zrobiłoby to na odbiorcy większe wrażenie? Ale zaraz... przecież byłoby to dla niego zupełnie niezrozumiałe. Gdyby lord Rodney wiedział, że wiadomość była w ten sposób szyfrowana, jego człowiek od brudnej roboty, czyli Geoffrey, powinien rozpoznać znaki na haftowanych tasiemkach krynoliny.

Szkoda, że miałam tak szczątkową wiedzę na temat lorda Rodneya. Czy to on adresował koperty tym grzecznym charakterem pisma? Bardzo możliwe, skoro dał się zdominować młodszemu, obdarzonemu kryminalnymi skłonnościami bratu.

Ojej. A jeśli w tej chwili właśnie się z nim naradza?

Niestety, okazało się, że przecucia mnie nie zawiodły. Kamerdyner w końcu się pojawił i skinąwszy dłonią, poprowadził mnie w milczeniu do pogrążonego w półmroku, wypełnionego cygarowym dymem pokoju bilardowego – miejsca, w którym szanująca się dama nigdy nie powinna się znaleźć. Tam, za wyłożonym zielonym sukrem stołem, czekali na mnie obaj synowie Sidneya Whimbrela.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Stali z cygarami w dłoniach, opierając się o kije bilardowe, w tak nonszalanckich pozach, że zaczęłam mieć obawy, czy lord Rodney nie okaże się człowiekiem równie zepsutym jak jego młodszy brat. Byli niemal identyczni. Patrząc na ich owalne, symetryczne twarze i miękkie, przyjemne dla oka rysy twarzy, można by ich wziąć za bliźniaków. Jednak bez trudu rozpoznałam, kto jest kim. Zdradziły ich oczy: lord Rodney otwierał je szeroko z wyrazem przejęcia, Geoffrey przyglądał się mi spođe łba wzrokiem kobry.

Przez dłuższą chwilę się nie odzywałam. Prawdę powiedziawszy, nie byłabym w stanie nic powiedzieć. Wskutek przerażenia wszystkie przygotowane zawczasu słowa stchórzyły i dały drapaka z mojej głowy na podobieństwo dezertarów z pola bitwy. Udało mi się jednak (tak sobie przynajmniej wmawiałam) wyprężyć się na baczność i stać z podniesioną głową. Dokładałam także starań, by wyglądać jak osoba mierząca przeciwnika wzrokiem, a nie gapiąca się nań jak cielę. Miałam tym samym nadzieję, że moje milczenie zostało odczytane jako wyraz pogardy.

Liczyłam również, że wyglądam na kogoś, kto ma więcej niż czternaście lat. Zazwyczaj sprawiałam wrażenie starszej, a to dzięki wysokiemu wzrostowi, sztucznym krągłościom poupychanym pod ubraniem oraz ostrym rysom twarzy.

Po chwili spostrzegłam, że lord Rodney odkłada kij i cygaro. Potem usłyszałam jego pełen zdenerwowania głos.

– Więc to pani jest tą bezimienną osobą, która przysłała nam ten jakże tajemniczy liścik, z którego nic a nic nie zrozumieliśmy? Zapewniam, że doszło do jakiegoś nonsensownego nieporozumienia, łaskawa pani.

– Łaskawa pani? Jaka tam z niej pani? – ofuknął brata Geoffrey z pyszałkowatym politowaniem w głosie. – Toż to lokatorka.

– Aha! – zakrzyknęłam, dziękując losowi za grubiańskie zachowanie i godne ubolewania manieri Geoffreya, bo ze złości od razu odzyskałam zdolność mówienia. – I ma pan czelność wypierać się udziału w tej aferze? Niech mnie pan nie lekceważy. – Chociaż to Geoffrey doprowadził mnie do furii, zwracałam się do Rodneya, traktując młodszego z braci jak powietrze, żeby go jeszcze bardziej zdenerwować. – Urowadzenie to ciężkie przestępstwo. Oczywiście za odpowiednią opłatą można zamknąć usta prasie i policji, ale nie pannie Florence Nightingale. Domyślcie się, jak zareaguje, dowiedziawszy się o waszych wyczynach? Do kogo zaadresuje sto pierwszych listów w tej sprawie? A na pewno dowie się o wszystkim, jeśli natychmiast nie uwolnicie przetrzymywanej. Zatrudniła słynnego detektywa, pana Sherlocka Holmesa...

– Tere-fere – przerwał mi Geoffrey. – Skąd ta smarkuła może wiedzieć cokolwiek o...

Wbiłam w niego spojrzenie.

– Florence Nightingale zaprosiła mnie do siebie, o czym wiedziałby pan, gdyby zechciał mnie pan śledzić, kiedy po raz drugi udałam się do jej domu. I gdyby nie był pan tak zajęty porywaniem bezbronnej, szacownej starszej pani...

– Ja za to nie odpowiadam! – zapiszczał lord Rodney głosikiem, który bardziej by pasował do pani Tupper. – Nigdy się nie spodziewałam...

– Zamilcz! – warknął na niego brat.

Ale ja spojrzałam na Rodneya łagodniejszym wzrokiem i powiedziałam uspokajająco:

– Wiem, że nie spodziewał się pan, iż sprawy zajdą tak daleko, inaczej nie rozmawiałabym teraz z...

– Banialuki! – wybuchnął nadpobudliwy Geoffrey. – Powiedział, że mam wszelkimi sposobami dotrzeć do wiadomości. Więc zrobiłem, co trzeba. A ten mi teraz mówi, że nie wolno mi zlikwidować staruszki. Twierdzi, że należy puścić ją wolno. Pani też pewnie pozwoliłby stąd wyjść. Ale na szczęście chociaż jeden z synów naszego ojca jest mężczyzną!

Wychrypiawszy te słowa, bez najmniejszego ostrzeżenia (nawet żmija daje ofierze szansę, zanim ukąsi) skoczył, żeby mnie pochwycić.

I udałoby mu się, gdyby nie dzielący nas stół bilardowy. Musiał go obejść, co dało mi czas na

wyszarpnięcie zza gorsu sztyletu. Wyciągnęłam w stronę napastnika ośmiocalowe ostrze.

Staął jak wryty.

– Nie odważysz się mnie tknąć – wycedziłam cicho.

Zastygł nieruchomo i wybałuszył oczy.

– Z dwóch powodów. Pierwszy z nich jest taki. – Przekrzywiłam uniesione ostrze, żeby odbiło się w nim efektownie światło gazowej lampy. – A drugim powodem jest to, że mój brat widział, jak tu wchodzę, i czeka teraz przy bramie na mój powrót. – Nie wiem, czy los się do mnie uśmiechał, czy ze mnie kpił, ale nie mijałam się z prawdą. Sherlock Holmes był w pobliżu. Zapewne trafił tu dzięki temu samemu tokowi rozumowania co ja, z tą różnicą, że mój genialny brat szybciej skojarzył fakty. I zjawił się tu w przebraniu siwobrodego starca. Ku własnemu zdziwieniu stwierdziłam, że pokładałam w nim wielką ufność. Może zgodziłby się na pozbawienie mnie wolności, ale nie pozwoli, żeby ktoś pozbawił mnie życia. – Jeśli stąd nie wyjdę w określonym czasie, przyjdzie się wam zmierzyć z wyjątkowo potężnym przeciwnikiem.

Zapadła cisza.

Zamarliśmy niczym uczestnicy zabawy w żywe obrazy. Ja zastygłam z uniesionym sztyletem, plecami do ściany. Dwa kroki ode mnie stał Geoffrey, łypiąc na mnie wściekłym wzrokiem. Nie mogłam odwrócić głowy, by spojrzeć na znajdującego się za stołem bilardowym lorda Rodneya, ale wyobraziłam sobie, jak bezsilnie zaciska dłonie. Wszystko zależało teraz od jego decyzji.

Kiedy to pojęłam, w mojej głowie pojawiły się karnie zbiegłe z niej przed paroma chwilami słowa ułożonej wcześniej kwestii. Zwróciłam się więc do starszego z braci, wyluszczaając spokojnym tonem i w skrótowej formie to, co miałam powiedzieć.

– Lordzie Rodneyu, ma pan tytuł lordowski, ma pan miejsce w Izbie Lordów, ma pan władzę. – Rozchyliwszy drapowany front spódnicy, sięgnęłam lewą ręką do kieszeni po przygotowany zawczasu rekwizyt. Wyciągnęłam go i namacawszy drucianą zawieszkę, ustawiłam go we właściwej pozycji. Nie mogłam ani na chwilę spuścić z oka tego drania Geoffreya. Po chwili wyciągnęłam w stronę lorda Rodneya sylwetkowy portrecik.

„Wielce Szanowny Sidney Whimbrel, Embley, lato roku 1853” – głosił napis.

Jego ojciec.

– Milordzie – zwróciłam się do znajdującego się poza zasięgiem mego wzroku starszego brata. – Patrzy pan na podobiznę wybitnego męża stanu. Czyż nie zasłużył na to, by mieć godnego następcę? Jak długo jeszcze...

Przerwał mi wrzask Geoffreya:

– Ty durniu, nie stój tak! Dźgnij ją kijem!

– Jak długo jeszcze będzie się pan godził, by pożałowania godne wyczyny brata kalowały pamięć waszego ojca?

Nie odpowiedział ani mnie, ani Geffreyowi, jednak kąciem oka dostrzegłam, że się przemieszcza, by po coś sięgnąć. Zesztywniałam i odłożyłam portrecik na stół bilardowy na wypadek, gdyby przyszło mi się bronić oburącz. Ale Rodney nie miał zamiaru zaatakować mnie kijem. Pociągnął za taśmę dzwonka, by wezwać służącego. Prawdopodobnie kamerdynera.

Kolejnego rosłego, krzepkiego i nieprzyjemnego typu.

O rany...

Skrzypnęły drzwi i moje przypuszczenia okazały się trafne. Dostrzegłam kątem oka odzianą w czerni wysoką postać. Ponieważ bałam się choć na chwilę oderwać wzrok od Geffreya, nie mogłam stwierdzić, czy kamerdyner zdołał zachować kamienną twarz.

Przez chwilę, wydającą się trwać wiecznie, stałam w miejscu, czekając na to, co zrobi lord Rodney.

Jestem pewna, że służący także był tego ciekaw, chociaż jego głos pozostał równie bezbarwny jak przedtem:

– Pan dzwonił, milordzie?

Choć pytanie było skierowane do lorda Rodneya, Geoffrey warknął:

– Na miłość boską, Billings, leć po sznur i lokai, żebyśmy mogli ujarzmić to brzydactwo.

– Cicho! Ja tu wydaję polecenia. – Głos Rodneya drżał, jednak najważniejsze były teraz słowa, które wypowiedział: – Billings, bądź łaskaw odprowadzić pana Geoffreya do jego pokoi i przypilnuj, żeby tam został.

– Co?! – ryknął Geoffrey i rzucił się w stronę brata równie zwinnie, jak parę chwil przedtem doskoczył do mnie.

Jednak jednym susem znalazł się przy nim Billings, który chwycił go od tyłu za rękę. Geoffrey darł się i miotał, dając do zrozumienia, że zanim się podda, zrobi spustoszenie. Lord Rodney cofnął się i ponownie pociągnął za taśmę dzwonka.

– Gdyby zaszła potrzeba, pomogą ci lokaje – polecił Billingsowi, a następnie przywołałszy mnie dłonią, wyszedł z pokoju drugimi drzwiami. – Błagam, proszę odłożyć to budzące grozę narzędzie – powiedział, gdy oboje znaleźliśmy się na korytarzu.

Wsunęłam sztylet do pochwy, ale widziałam, że lord wciąż się boi odwrócić do mnie plecami. Przepuścił mnie pierwszą, wskazawszy kierunek. I ruszyliśmy... Na górę? Sądziłam, że zaprowadzi mnie do salonu, biblioteki lub innego cichego miejsca, w którym moglibyśmy zasiąść do negocjacji, by ustalić warunki wymiany trefnej wiadomości na zakładniczkę. Ale nie. Pokonaliśmy w milczeniu trzy biegi schodów. Na szczęście nie było to ciasne przejście dla służby, tylko szerokie reprezentacyjne schody, więc nie bałam się zbytnio, aż do chwili, kiedy mnie wprowadził... a raczej zagnał jak owcę... na wąskie stopnie wiodące, jak się domyśliłam, na szczyt jednej z czterech wież.

Nieźle miejsce na zaimprovizowaną celę.

Przystanąłam, odwróciłam się i spojrzałam lordowi Rodneyowi w oczy.

Chcąc nie chcąc, zatrzymał się i pokornie zniósł moje badawcze spojrzenie. Mimo błądki i opadniętych kącików ust sprawiał wrażenie opanowanego.

– Jeśli zależy pani na tym, bym stał się lordem Whimbremem godnym swojego poprzednika – oznajmił może niezbyt stanowczo, ale też nie nazbyt rozedrganym głosem – musi mi pani zaufać. Zgoda?

No tak, czyż miałam inne wyjście? Mogłam co najwyżej czmychnąć, zostawiając panią Tupper na łasce losu. Zawahałam się, jednak po chwili odpowiedziałam szybko:

– Doskonale. Zgoda.

Ruchem głowy pełnym znużenia nakazał mi podążać dalej, aż doszłam do wąskich, ciężkich i ciemnych drzwi. Lord wyjął z kieszeni sporawy klucz i przekręcił go w zamku. Uchylił drzwi, odsunął się nieco i zaprosił mnie ruchem dłoni do środka.

Przyznaję, że nie od razu odważyłam się wejść. Zatrzymałam się na progu małej izdebki oświetlonej licznymi lampami gazowymi i osadzonymi w kinkietach świecami. I ujrzałam, co następuje, choć niekoniecznie w tej kolejności:

Zasłony z wielobarwnego perkalu.

Mosiężne łóżko zawałone poduszkami i pierzynami.

Wazonik pełen świeżego kwiecia jabłoni.

Talerz świeżych truskawek.

Młodą pokojówkę siedzącą na zydelku ze złożonymi na kolanach rękoma, jakby w oczekiwaniu na dalsze polecenia.

Stół, na którym stał stereoskop.

Przy nim obficie wypchany tapicerowany fotel.

Na którym oparta o poduszki i zajęta oglądaniem dostarczonych jej dla rozrywki trójwymiarowych obrazów siedziała pani Tupper.

Zapewniam, że trudno sobie wyobrazić to, co wtedy czułam. Ogarnęły mnie bowiem różne emocje: ulga tak wielka, że ugięły się pode mną kolana, zdumienie, jakieś nieuzasadnione oburzenie oraz lekka zazdrość – nikt mi nigdy nie przynosił truskawek ani nie dawał stereoskopu do zabawy! Tak czy inaczej w tej nawałnicy uczuć omal nie straciłam jasności umysłu. Zresztą i tak nie zdążyłabym nad sobą zapanować, ponieważ w tej samej chwili, w której dostrzegłam panią Tupper, pani Tupper spojrzała w moją stronę. Wykrzyknęła piskliwie, skoczyła na równe nogi i rzuciła się ku mnie. Podbiegłam do niej w obawie, że się przewróci.

– Panno Meshle! – zawołała i zaczęła chlipać.

Przyznam się, że ja także uroniłam łezkę. Służąca podniosła się z miejsca, dygnęła i wyszła, reagując zapewne na niemy sygnał ze strony lorda.

– Och, panno Meshle! – powtarzała pani Tupper. – Och, panno Meshle, tak się cieszę, że pannę widzę, bardzo się cieszę, panno Meshle!

Gładząc ją po głowie, którą wcisnęła w moje ramię, zauważyłam, że ma nowiutki biały czepek z lawendowymi wstążkami i równie nową suknię w kolorze wstążek. Pragnąc zapanować nad rozbuchanymi emocjami, zażartowałam:

– Wygląda na to, że nie było tu pani źle.

– He? – Podniosła głowę jak żółw i przyłożyła dłoń do ucha.

Nagle czas się cofnął, wszystko wróciło do normy, a ja natychmiast się uspokoiłam. Odetchnęłam głęboko, a po chwili ryknęłam staruszce do ucha:

– Czy wszystko dobrze?

– O tak, a to za jego sprawą. – Nie przestając chlipać, kiwnęła głową w stronę lorda Rodneya. – Najzacniejszy dzieńtelmen, jaki kiedykolwiek nosił getry. Ale za to ten drugi... ten to chciał mnie utopić w rzece!

– Nigdy nie nosiłem getrów. A „ten drugi” – wtrącił lord Rodney z wisielczym uśmiechem – wsiądzie za tydzień na statek płynący do Australii.

Pani Tupper, do której nie dotarły jego słowa, wykrzyknęła:

– Tak się bałam, tak bardzo się bałam!

– Moje biedactwo. – Oczywiście, że była przerażona, nie wiedząc ani kim są ci dwaj mężczyźni, ani czego od niej chcą, który jest starszy, a który młodszy i który ma w tym domu więcej do gadania. – Już dobrze, dobrze... – mruzczałam uspokajająco, chociaż doskonale wiedziałam, że mnie nie usłyszy. Gładząc ją po przygarbionych plecach, zwróciłam się ponad jej głową do lorda Rodneya. – Doskonały pomysł. Talenty pańskiego brata będą o wiele bardziej przydatne i pożądane w dziczy – wypaliłam, nie owijając w bawełnę.

Niestety, nie pamiętam, czy cokolwiek mi na to odpowiedział, ponieważ w trakcie rozmowy zobaczyłam nagle za znajdującym się za jego plecami oknem... twarz.

Nader niepokojąca obserwacja, zwłaszcza że przebywaliśmy w pomieszczeniu znajdującym się cztery piętra nad ziemią. Równie niepokojąca była sama twarz, czyli przyklejony do szyby wydatny nos wyglądający jak biały trójkąt otoczony burzą siwych włosów.

A jednak, zamiast podskoczyć z przerażenia i krzyknąć, uśmiechnęłam się. Rzuciłam bratu dość bezczelne spojrzenie, wyobraziwszy sobie, jak pocieszenie musi wyglądać rozkraczony na murze jak pająk. Żałowałam, że nie mogę mu pokazać języka, ale Rodney z pewnością poczułby się urażony.

Powściągnęłam się i spytałam zżeranego przez nerwy lorda, czy nie moglibyśmy zejść na dół.

– Oczywiście, panno Meshle... bo chyba tak się pani nazywa?

Nie nazywałam się tak, więc odpowiedziałam wymijająco:

– Nie mam powodów, by temu przeczyć.

– Pani Tupper ma w pani bardzo lojalną lokatorkę, panno Meshle. Oczywiście, chodźmy wszyscy na dół, gdzie będziemy mogli wygodnie usiąść. Czy kazać podać herbatę?

– Byłoby bardzo miło.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Negocjacje prowadzone w dość pretensjonalnie urządzonej bawialni nieco się przeciągnęły. Samo uspokajanie lorda Rodneya wymagało wiele czasu, a przecież moim celem było wyciągnięcie od niego pokaźnej rekompensaty dla pani Tupper. Trudno mi było połączyć oba cele.

Zaczęłam od argumentów racjonalnych.

– Pani Tupper nie ma pojęcia, kim są pan i jego brat, jak się panowie nazywają ani gdzie została uwięziona. Czyż nie mam racji?

Spojrzał ze smutkiem na starszą kobiecinę, która ukojona herbatką i moją obecnością przysnęła właśnie w przepastnym obitym granatowym aksamitem fotelu.

– Tak. Sądzę, że tak się sprawy mają.

– Niewątpliwie zauważył pan także, że ma nieco ograniczone zdolności porozumiewania się.

– Zgadza się.

– I jest osobą, która nie ma w sobie ani krztyny mściwości. Kiedy wróci do domu z ładną sumką na otarcie łez, zapomni o całej tej awanturze. Mieszkańcy East Endu unikają kontaktów z policją jak ognia.

– A pani? Groziła pani w liściku, że zgłosi sprawę organom ścigania.

– Napisałam tak w imię wyższej konieczności. Oczywiście teraz, kiedy mnie pan lepiej poznał, wie pan zapewne, że potrafię dotrzymać tajemnicy.

– Przeciwnie. Wiem, że potrafi pani w każdej chwili dobyć broni.

– Jak każda rozsądna kobieta w sytuacji zagrożenia.

Spojrzał na mnie bez przekonania.

– Nie jest pani typową kobietą.

Obawiam się, że przewróciłam oczyma.

– Obdarzyłam pana zaufaniem. Teraz spodziewam się tego samego z pańskiej strony. Kiedy zapewni pan ofierze zabezpieczenie finansowe na stare lata...

– A dla siebie nie chce pani pieniędzy? – spytał podejrzliwie.

– Mogę pana zapewnić, że nie.

– I nic z tego, co się tu wydarzyło, nie dojdzie do uszu Florence Nightingale?

– Absolutnie nic. Nie widzę powodu, dla którego miałabym ponownie zawitać w jej gościnne progi.

– Czyli nie grożą mi żadne konsekwencje?

– Absolutnie żadne. – Pomyślałam jednocześnie z goryczą, że sama mogłam się spodziewać znacznie dotkliwszych konsekwencji. Ponieważ Sherlock wiedział już o pani Tupper, będę musiała zrezygnować z dalszego wynajmowania pokoiku i natychmiast poszukać sobie nowego miejsca zamieszkania, chyba że – co bardzo prawdopodobne – Sherlock schwytałby mnie przy próbie opuszczenia Whimbrel Hall! Miałam stuprocentową pewność, że na mnie czeka, bo od czasu do czasu udawało mi się dostrzec jego twarz za oknami bawialni.

Z trudem skoncentrowałam uwagę na lordzie Rodneyu.

– Z pewnością – ciągnęłam – widzi pan, że nie przejawiam wobec pana złej woli. I czuję wielki szacunek dla pańskiego rodu. Podzielałam estymę, jaką darzy Whimbrelów panna Nightingale.

I tak przez bardzo długi czas z nim pertraktowałam. W końcu, po niezliczonych perswazjach i obietnicach, z rąk do rąk przeszła pewna pokaźna kwota. Odniosłam wrażenie, iż biedny lord Rodney mimo moich zapewnień był przekonany, że opłaca w tej sposób moje milczenie. Po chwili wyciągnęłam ze skórzanej torby kłęb haftowanych w kwiatki błękitnych wstążek i wręczyłam je lordowskiej mości.

Jak można było oczekiwać, zdumiał się bardzo.

– Co to jest?

– Zaginiona wiadomość – wyjaśniłam. – A oto sposób, w jaki ją rozszyfrowałam. – Podałam mu kartki zapisane kodem Morse'a. Następnie wstałam, podeszłam do pani Tupper i budząc ją delikatnym dotknięciem, zwróciłam się do lorda Rodneya: – Na nas już czas. Byłabym wdzięczna, gdyby użyczył nam pan swego powozu.

Było to konieczne, jeśli miałam umknąć bratu, ponieważ nie mogłam liczyć na to, że pani Tupper zacznie nagle biegać i wspinać się po drzewach.

– Ani myślę – rzucił lord Rodney tonem człowieka, który nagle odkrył, że jest spadkobiercą dającego władzę tytułu. Gorzej, wyczułam w jego głosie autentyczną irytację. Z pewnością spodziewał się czegoś mniej kobiecego w zamian za nadszarpnięcie zasobów finansowych. – Nigdzie się pani stąd nie ruszy. Proszę usiąść i wyjaśnić mi, co to za brednie.

– To nie są brednie. – Chociaż czułam, że źle robię, zaskoczona jego nagłym wybuchem również podniosłam głos. – Zadałam sobie mnóstwo trudu, żeby...

Bóg jeden wie, jaki obrót przybrałyby sprawy, gdyby nagle gdzieś na górze nie rozbrzmiały krzyki i głośny łomot, a następnie dudnienie kroków na schodach. Echo zgiełku rozlegało się już w całym domu, kiedy za otwartymi drzwiami przemknął Geoffrey Whimbrel, za którym biegli dwaj lokaje obuci w pantofle z klamrami, odziani w pończochy, obcisłe spodnie do kolan i czerwone kurtki, z białymi pudrowanymi perukami na głowach. Ktoś powinien się pokusić o naukową analizę tendencji do przebierania służby w stroje, które w poprzednim stuleciu nosiły wyższe sfery. Zupełnie niepraktyczne rozwiązanie. W trakcie galopady za młodszym z potomków lorda Sidneya jednemu z lokajów peruczka przekrzywiła się na głowie, drugiemu spadła na podłogę. Do pościgu dołączył także kamerdyner Billings, który rzucił Rodneyowi niezbyt już potrzebną informację:

– Uciekł nam, wasza lordowska mość!

Lord Rodney zdążył już bowiem wstać i pobiec w stronę przypominającego muzeum holu wejściowego, by podążyć za bratem pędzącym ku drzwiom. I ja zerwałam się z miejsca, by obserwować rozwój wydarzeń, pani Tupper zaś – z szybkością, na jaką pozwalała jej przygarbiona postura – pospieszyła w moje ślady. Po chwili cały dom rozbrzmiewał piskami i okrzykami żeńskiej i męskiej służby, zbiegającej się z najodleglejszych pomieszczeń, by obejrzyć grandę. Niespodziewanie się wypełnił spory tłumek.

Dwaj lokaje, kamerdyner i lord Rodney uczepili się Geoffreya niczym buldogi niedźwiedzia, jednak nawet wspólnymi siłami nie zdołali go zatrzymać. Dopadł drzwi. I choć ciągnęli go za ubranie i ramiona, udało mu się podważyć rygle, odsunąć zasuwę i otworzyć z impetem skrzydło...

W świetle zatkniętych przy wejściu łuczycy na marmurowym podeście czekał na niego obdarzony imponującym wzrostem, siwy, chudy i kanciasty osobnik o obfitym zarostie i rozczochranych włosach.

Byłam bodaj jedyną osobą, której ten widok nie zaskoczył.

Chociaż nie. Rozjuszony i zdesperowany Geoffrey nie tracił czasu na takie dyrdymałki jak wpadanie w zdziwienie. Wyrwawszy się z rąk ścigającej go czwórki, rzucił się naprzód z zamiarem staranowania i stratowania siwobrodęgo.

Okazało się jednak, że równie dobrze mógłby mierzyć się z piorunem. Dryblas zwinnie i niespodziewanie zadał mu kantem dłoni cios, robiąc przy okazji wykop nogą... Niestety, nie mogę opisać kolejnych manewrów, które – jak wspominał w swoich publikacjach doktor Watson – stanowiły część dalekowschodniej sztuki walki o nazwie dźiu-dźitsu. Nie mogę też zdać relacji z przebiegu szamotaniny, wskutek której Geoffrey padł na plecy przywalony ciężarem siwowłosego napastnika. Nie mogę również stwierdzić, że czułam wielkie zadowolenie, podziwiając sprawność mojego brata, ani opisać zdumienia gapiów obserwujących chudego staruszka obezwładniającego rosnącego młodego arystokratę. Mam tylko wyrwykowe wspomnienia z przebiegu walki, ponieważ ani myślałam się jej przyglądać.

Chwyciłam panią Tupper za rękę i pociągnęłam ją na tyły domu z zamiarem opuszczenia jego wnętrza, korzystając z tego, że wszyscy, łącznie z Sherlockiem – zwłaszcza z Sherlockiem – byli zajęci bijatyką przy drzwiach frontowych.

Chociaż pani Tupper robiła, co mogła, by mi dotrzymać kroku, nie dawała rady, więc chwyciłam ją wpół i przerzuciwszy sobie jej chudziutkie ciało przez ramię, pobiegłam przez wyludnione korytarze i przejścia dla służby. W mieszczącej się w piwnicy kuchni również nie było żywej duszy. Wpadłam tam, otworzyłam drzwi, wbiegłam po schodach na podwórko, po czym klucząc między zabudowaniami – kuchnia letnia, szopa z narzędziami, psiarnia, powozownia – popędziłam do tylnej bramy, gdzie musiałam się na chwilę zatrzymać. Na szczęście zadaniem tej zapory było uniemożliwienie intruzom

z zewnątrz wejścia na teren posesji, więc od środka można było ją z łatwością otworzyć. Wciąż niosąc panią Tupper na ramieniu – chociaż byłam już porządnie zziębnięta – wbiegłam w ciemny zaułek wiodący na ulicę.

Tam, w przygaszonym blasku latarni gazowej, poza zasięgiem oczu mieszkańców Whimbrel Hall, poczułam się nieco raźniej. Postawiłam rozdygotaną panią Tupper na nogi i pochyliłam się, by się upewnić, że nie odniosła żadnych obrażeń.

– Czy dobrze się pani czuje? – spytałam cichutko, nie chcąc budzić okolicznych mieszkańców krzykiem. Miałam nadzieję, że moja gospodyni domyśli się, o co mi chodzi, z ruchu moich warg.

Zdaje się, że tak właśnie było.

– Panno Meshle – powiedziała drżącym głosem, podnosząc na mnie załzawione oczy. – Jestem panie dozgonnie wdzięczna, jestem...

– Cii. – Musiałam odwrócić głowę, ponieważ w tej właśnie chwili ścisnęło mi się boleśnie serce na myśl o tym, że wkrótce będę musiała się z nią pożegnać.

A wówczas ja, Enola, której imię czytane wspak brzmi alone, czyli „sama”, będę osamotniona jak nigdy dotąd. Przecież pani Tupper – moja głucha podstarzała gospodyni, pichcąca mi co wieczór wyjątkowo paskudne dania – zastępowała mi w pewnym sensie matkę.

„Och, mammo... gdzie jesteś?”

Była to najgorsza z myśli, jakie mogły mi przyjść do głowy, ponieważ moja matka... Chociaż robiłam wszystko, by wyprzeć tę myśl, miałam irracjonalną pewność, że już jej nigdy nie zobaczę, bo zapewne zmarła gdzieś ze starości, a Cyganie, niepiśmienni nomadzi, zakopali ją na bezdrożach w nieoznaczonym grobie.

„Przestań, Enolu!”, skarciłam samą siebie.

Z trudem powstrzymując łzy, chwyciłam panią Tupper za rękę i ruszyłam spiesźnie naprzód. Szliśmy tak, póki na jednej z ulic nie pojawiła się dorożka. Zatrzymałam ją.

W bezpiecznym zaciszu zamkniętej budy czterokołówki wręczyłam pani Tupper gotówkę, którą wyděbiłam od lorda Rodneya Whimbrela, uciszając jej pełne zaskoczenia protesty. Chciałam mieć pewność, że nie zagrozą jej głód czy brak środków do życia. Dopilnowałam, by upchnęła stufuntowe banknoty pod stanikiem sukni. Kiedy zajechaliśmy pod jej skromniutki domek na londyńskim East Endzie, wysiadłyśmy obie, jednak poprosiłam woźnicę, by na mnie zaczekał.

Zostawiłam panią Tupper na parterze, gdzie zaczęła biadolić na widok zniszczeń, sama zaś pobiegłam na górę do swojego pokoju, który wkrótce miał przestać być moim, by spakować do torby podróźnej to, co mogło budzić najwięcej podejrzeń, i to, co było mi niezbędne: perukę, gumowe wkładki do modelowania twarzy i inne elementy moich przebrań, zapasowy sztylet, całą posiadaną gotówkę oraz niedużą, ręcznie zszywaną książkę zdobioną akwarelowymi wizerunkami kwiatów – ostatni podarunek, jaki otrzymałam od mamy.

Objuczona tym ciężarem zbiegłam na parter, gdzie zastałam panią Tupper. Nagle okazało się, że jest inteligentniejsza, niż ją o to posądzałam. Stała przy drzwiach z miną opuszczonej przez wszystkich nieszczęśnicy, tuląc do piersi swoją rzeźbioną drewnianą skrzyneczkę kryjącą ubożuchny zbiorek dokumentów i pamiątek całego jej życia.

– Panno Meshle, proszę mnie nie zostawiać tu samej po tym wszystkim, co mnie spotkało – zajęczała błagalnie. – Nie czuję się tu bezpiecznie i to już nie jest mój dom. Niech mnie panna ze sobą zabierze.

Czas nagle zawirował, a po chwili stanął w miejscu, rozchybotany i pozbawiony równowagi. Zabrać ją ze sobą? Ach, gdyby moja mama zechciała mnie kiedyś ze sobą zabrać!

Ale dokąd? Jak? Przecież to chyba niemożliwe...

I nagle mój umysł skontrolował własne rozterki: mniejsza o trudności. Niech diabli porwą Sherlocka i Mycrofta Holmesów! Niech licho weźmie zagrożenie, które dla mnie stwarzają! Po prostu nie mogłam zostawić pani Tupper na pastwę losu.

Czas ponownie ruszył, tym razem wracając na właściwe tory.

– No to proszę ze mną, tylko szybko!

Jej pomarszczona twarz rozpogodziła się, kiedy tylko ujęłam jej dłoń. Pobiegłyśmy razem do

dorożki.

– Dokąd panienka życzy sobie jechać?

Radosnym głosem oznajmiłam woźnicy, że nie mam najmniejszego pojęcia. Wiedziałam jednak, że niebawem wszystko się wyjaśni. Nauczyłam się ufać dziwnym porywom serca i umysłu.

– Proszę jechać na zachód – zaordynowałam.

I ruszyliśmy w stronę Westminster City.

MAJ 1889 ROKU

Już nie mogę zajmować się haftem – stwierdza ze smutkiem, ale bez żalu w głosie Florence Nightingale, przebiegając palcami po błękitnych wstążkach, na których wyszyto ujmujące w swej prostocie pięciopłatkowe margerytki i małe, okrągłe różyczki; odwiedzająca ją osoba położyła je właśnie na kapie łóżka. – Nie potrafiłabym już utrzymać w palcach igły. – Jej dłonie są dotknięte przykurczem wskutek przeciążenia o wiele ważniejszą czynnością, jaką jest pisanie. Robótki ręczne to w gruncie rzeczy bagatelne zajęcie. Z takimi przemyśleniami sławna ongiś Dama z Lampą zwraca się do swego gościa. – Mówi pan, że lord Rodney Whimbrel życzył sobie, by do mnie trafiły? Dlaczego?

Stojąc z boku jej łóżka – nie poprosiła go o zajęcie miejsca w fotelu, mimo że sama go wcześniej zatrudniła, ponieważ jego obecna wizyta nie powinna trwać zbyt długo – słynny detektyw Sherlock Holmes odpowiada:

– Lord Whimbrel ma nadzieję, że ten gest będzie symbolicznym znakiem zamknięcia sprawy oraz wyrazem jego nieustającego podziwu dla pani osoby.

– I pragnie, bym puściła w niepamięć to, co całą tę awanturę zapoczątkowało?

– Chociaż lord Rodney wziął pełną odpowiedzialność za to, co się wydarzyło, panno Nightingale, musimy przyjąć do wiadomości, że inicjatorem zamieszania był jego brat. Nie grozi nam jednak to, że Geoffrey ponownie wzniesi jakąś awanturę. Mając w perspektywie o wiele gorsze rozwiązania, zgodził się opuścić kraj i udać do kolonii.

– W takim razie powstrzymam się od osądów w nadziei, że lord Rodney wykaże się w przyszłości mniej chwiejną postawą moralną.

Wypowiadając te słowa, Florence Nightingale przygląda się uważnie wysokiemu, kanciastemu człowiekowi czynu. Jego przesadnie wyciągnięta w pionie sylwetka kontrastuje ze zorientowanym na linie poziome wystrojem wnętrza. Tytułował ją szarmancko „panną Nightingale”, jednak w jego głosie pobrzmiwało także lekkie szyderstwo. Nie, nie ma zamiaru rozmawiać z nim o pewnej równie wysokiej młodej kobiecie czynu, ale...

Przerzuciwszy haftowane wstążki na drugą stronę łóżka, wskazuje detektywowi fotel. Kiedy gość w nim zasiada, zwraca się do niego w charakterystyczny dla siebie, cichy i łagodny, sposób:

– Zapewne jest pan ciekaw, dlaczego przed paroma dniami nie udaremniłam pańskiej wyjątkowej siostrze karkołomnej ucieczki. Nie! – Marszczy lekko brwi, kiedy Sherlock podnosi obciążoną w skórzaną rękawiczkę dłoń, by jej przerwać. – Proszę mi pozwolić mówić dalej. Póki pan mi o tym nie powiedział, nie miałam pojęcia, że... Enola... Dobrze pamiętam? Że Enola to zaledwie czternastoletni podłotek.

W sposób nielicujący z jego zazwyczaj nienagannymi manierami Sherlock Holmes wpada rozmówczynie w słowo:

– To nie ma najmniejszego znaczenia, ponieważ sprawia wrażenie o dziesięć lat starszej! Czy pozwoliłaby pani, by jej córka, gdyby ją pani miała...

W tym miejscu panna Nightingale przerywa przerywającemu, rzucając z wdziękiem i jakby od niechcenia:

– Musi pan wiedzieć, że poznałam waszą matkę, panie Holmes.

Holmes najwyraźniej o tym nie wie i ta informacja zbija go nieco z tropu. Wyprostowuje się w fotelu i spogląda na przykutą do łóżka rozmówczynię, wspaniałą kobietę o gładkiej cerze i lśniących włosach, wyeksponowanych przez osobliwe nakrycie głowy i rozdzielonych na starą modłę nieskazitelnym przedziałkiem. Przygląda jej się badawczo spod wygiętych zdziwieniem brwi.

– Eudoria Verent Holmes. Kobieta godna najwyższego podziwu – ciągnie Dama z Lampą. – Wspierająca duchem i czynem ideę reform. Ona wybrała walkę o prawa kobiet, ja skupiłam się na niedoli rannych i obłożnie chorych, jednak darzyłyśmy się wzajemnie wielkim szacunkiem. Czy doszły do pana jakieś informacje na temat jej losu?

– Więc wie pani, że zniknęła bez śladu? Nie, nic o niej nie wiem. – Po chwili wahania pyta: – A pani?

Aha! Jednak matka nie była mu obojętna.

– Bardzo żałuję, ale nie. Może postanowiła uciec aż na Krym? – Kpiąc z samej siebie, Florence Nightingale przemawia lekkim, a zarazem pełnym zatroskania tonem: – Przy moim obecnym stanie zdrowia nie potrafiłabym zatrzymać siłą nikogo, nawet kobiety, choćby młodej wiekiem...

Sherlock Holmes pochyla się ku niej, przerywając jej gestem dłoni godnym wojownika dżiu-dzitsu. Ku zaskoczeniu rozmówcy zamiast mówić o Enoli, podejmuje wątek Eudorii Holmes.

– Brat i ja kłóciliśmy się z matką. Teraz, kiedy patrzę wstecz, wydaje mi się to zupełnie nonsensowne – stwierdza bez ogródek z niespodziewaną goryczą w głosie. – A jednak to jeszcze nie powód, by...

– Ale czyż tak trudno panu dostrzec – wpada mu w słowo Florence Nightingale z pełną słodczy stanowczością – że z jej punktu widzenia powodów było aż nazbyt wiele? Pańska siostra dała mi przed paroma dniami do zrozumienia, dlaczego tak postępuje. – Panna Nightingale waha się przez chwilę, jednak uznaje, że trzeba powiedzieć prawdę: – Pańska osoba budzi w niej paniczny lęk.

Chociaż Sherlock Holmes zachowuje kamienną twarz, przykuta do łóżka kobieta orientuje się, że jej słowa poruszyły w nim czułą strunę. Oparłszy przedramiona na udach, Holmes zaciska dłonie i wbija w nie wzrok.

Panna Nightingale cierpliwie czeka na jakąś inną reakcję.

– Nie zaprzeczę – odzywa się po dłuższym milczeniu detektyw. – Jednak nawet wyteńczywszy wszystkie swoje siły umysłowe, nie potrafię wyjaśnić, dlaczego budzę w niej tak wielki lęk. Dobrze wie, że nigdy bym jej świadomie nie skrzywdził. A sama od czasu do czasu daje mi dowody nieskrywanego przywiązania.

Dobra pielęgniarka wie, że czasem lepiej milczeć, by pacjent mógł się wygadać. Florence Nightingale przez chwilę powstrzymuje się od komentarzy.

– Wraz z naszym bratem, Mycroftem, pragnę dla tej dziewczyny tego, co będzie dla niej najlepsze – kontynuuje Sherlock. – Powinna się uczyć, ukończyć porządną pensję dla panien...

– Ach! – Florence Nightingale pojmuje nagle, o co chodzi. – Zagroził jej pan zesłaniem na pensję! Sherlock Holmes podnosi na nią oczy pełne niemal chłopięcego zdziwienia.

– A jakąż to groźba kryje się w...

– Wielkie nieba, czy matka panu tego nie mówiła? – No cóż, trzeba przyznać, że jej rozmówca nie jest w tej kwestii większym ignorantem niż lwia część współczesnych mu mężczyzn. – Typowa pensja dla dziewcząt jest dla panny z dobrego domu źródłem katuszy niemal równie dotkliwych jak cierpienia zaprzęgniętego do kieratu skazańca. Mówię tu o rygorach dotyczących fizyczności dziewcząt, które nieuchronnie prowadzą do deformacji ciała, a nawet śmierci.

Wielki detektyw siedzi z rozchylonymi ustami. Najwyraźniej czuje się zapędzony w kozi róg.

– Mój zacny panie – klaruje mu łagodnie panna Nightingale – proszę mi wybaczyć niezamierzoną bezceremonialność, ba!, nawet szorstkość, ale mam już swoje lata i z tej racji wolno mi mówić to, co inni wolą przemilczeć. Zgniatanie palców w imadle to lekka tortura w porównaniu z zasznurowanym ciasno gorsetem.

Padło słowo, którego się nie wymawia w przyzwoitym towarzystwie, zwłaszcza mieszanym. Usłyszawszy je, człowiek czynu podnosi rękę na znak protestu, a jego twarz o orlich rysach pokrywa lekki rumieniec. Jednak Florence Nightingale draży dalej.

– A z jakiej to przyczyny – rzuca wyzwanie jego zdolnościom intelektualnym – modnie tak często mdleją? Dlaczego dziesiątkują je choroby, że o śmierci w połogu nie wspomnę? Niektóre marnieją i umierają, zanim osiągną wiek umożliwiający im macierzyństwo. Wszystkiemu winne jest ściskanie ciała w talii, zwyczaj równie barbarzyński jak bandażowanie dziewczęcych stóp w Chinach! Odmawiamy kobietom prawa do wygody i zdrowego życia. Nic dziwnego, że siostra się pana boi. Jej ucieczka przed zesłaniem na pensję jest wyrazem woli przetrwania.

– Ale... przecież to niemożliwe, żeby było aż tak źle, jak pani to przedstawia! – wykrzykuje Sherlock Holmes. – Tradycja... elegancja... całe pokolenia kobiet jakoś to przeżyły.

– Rozumując w ten sposób, można by powiedzieć, że w imię tradycji całe pokolenia żołnierzy przeżywają kolejne wojny – zauważa cierpko Florence Nightingale. Jednak instynkt dyplomatyczny, który pozwolił jej przetrwać kilkadziesiąt lat zmagania z kilkoma pokoleniami autorytarnych mężczyzn,

każe jej skierować rozmowę na nieco inne tory. – Nie miałam dzieci, ale miałam siostrę i potrafię zrozumieć pańską troskę – zapewnia swego gościa. – A może pani Tupper będzie mogła udzielić panu informacji na temat miejsca jej pobytu?

Piętro niżej ktoś zasiadł właśnie do fortepianu i dom wypełniają majestatyczne Beethovenowskie frazy. Chociaż ani wielki detektyw, ani wielka reformatorka nie widzą pani Tupper, oboje wiedzą, gdzie szacowna kobieta się w tej chwili znajduje – siedzi tuż przy instrumencie, w zaurczeniu i zachwycie. Okazało się bowiem, że docierają do niej dźwięki muzyki.

Sherlock Holmes chichocze z ponurą miną i opada na oparcie fotela.

– Nie, z pani Tupper nie da się niczego wyciągnąć, o czym z pewnością doskonale wie Enola. Zuchwałość tej dziewczyny – ciągnie tonem, w którym podziw miesza się z irytacją – nie przestaje mnie zadziwiać. Zjawiała się tu w chwili, w której przeczesywałam oddaloną o kwartał domów rezydencję Whimbrelów w poszukiwaniu jej śladów, i podrzuciła pani obcą staruszkę niczym z dawna oczekiwanego gościa...

Florence Nightingale natychmiast spieszy z wyjaśnieniem:

– Ależ jestem zachwycona tym, że mogę zapewnić owej pani spokojną starość.

– Bardzo to zacne z pani strony, nie wątpię. – W jego głosie pobrzmiwa przez chwilę szorstki ton, jednak Holmes natychmiast się mityguje. – Czy będzie pani równie dobra, żeby posłać po mnie, gdyby moja siostra wpadła tu do niej z wizytą?

Florence Nightingale po prawie niezauważalnym wahaniu mówi coś, co pozornie nie ma związku z jego pytaniem.

– Jeśli mnie pamięć nie myli, ma pan starszego brata.

– Mycrofta. Tak.

– Który jest niereformowalnym starym kawalerem, odludkiem, mizantropem, a do tego mizoginem?

Skąd ta kobieta to wszystko wie? Twarz wielkiego detektywa wykrzywia grymas.

– Pochlebiam sobie, że mam na niego pewien wpływ.

– Tak czy inaczej, on ma w rodzinie decydujące słowo. Zresztą skąd mogłabym wiedzieć o odwiedzinach pańskiej siostry? – pyta Florence Nightingale, otwierając szeroko oczy z wyrazem słodkiej niewinności. – Nigdy nie schodzę na niższe piętra.

Sherlock Holmes, także obdarzony zmysłem dyplomatycznym, potrafi wyczuć, kiedy w rozmowie następuje impas. Pomija słowa goszczącej go kobiety milczeniem i podnosi się z fotela.

– Panno Nightingale, jestem bardzo rad, że mogłem panią poznać. – Zbliży się do łóżka, ujmując jej na wpół zdeformowaną dłoń i zgina się w ukłonie. – Gdyby znów potrzebowała pani moich usług, proszę bez wahania się ze mną skontaktować.

A jednak opuszcza jej pokój w nastroju dalekim od radości. Schodzi na dół, a kiedy przemyka obok pani Tupper siedzącej w fotelu bujanym przy fortepianie, dochodzi do wniosku, że Enola z całą pewnością będzie składać jej wizyty. Dlatego też zlecenie Ferajnie z Baker Street – zwerbowanym do pracy młodocianym ulicznikom – obserwacji rezydencji panny Nightingale zwiększy w znaczący sposób prawdopodobieństwo złapania siostry w sidła. Niech ją licha porwie i niech los sprzyja tej jakże przebiegłej ryzykantce...

Ale co potem?

Czy w niepokojących, nietaktownych rewelacjach panny Nightingale kryło się ziarenko prawdy?

Czy gdyby mógł się w tej chwili poradzić mamy, podzieliłaby jego zdanie?

O bogowie! Czyżby zaczynał tracić słynny na całym świecie rozum? Marzy, by usłyszeć z ust matki poradę, choć jeszcze rok temu nie liczył się z jej zdaniem?

Z ust matki, której miejsca pobytu nie był w stanie zlokalizować?

Niech to wszystko diabli wezmą! Dlaczego ta ekscentryczna kobieta uciekła z domu? I dlaczego córka momentalnie poszła w jej ślady? Dlaczego wciąż mu się wymyka? A może... Człowiekowi czynu trudno się pogodzić z tą myślą. Może od samego początku był w błędzie, sądząc, że Enola wymaga wzięcia w karby...

Dla jej własnego dobra?

Opuszczając gościnne progi domu panny Nightingale, genialny detektyw po raz pierwszy zastanawia się, czym w istocie jest „własne dobro” jego siostry. Pensja dla panien, nauka konwenansów, wprowadzenie na salony, przygotowanie do małżeństwa... Czy te narzucone przez wymogi przyzwoitości i uświęcone tradycją zabiegi są naprawdę najlepszą propozycją dla Enoli?

OD AUTORKI

Opisując wojnę krymską i rolę, jaką odegrała w niej Florence Nightingale, starałam się trzymać jak najwierniej udokumentowanych faktów. Niemniej nie dotarłam do źródeł, z których wynikałoby, że prowadziła tajną korespondencję – wysyłanie przez nią szyfrowanych wiadomości jest moim wymysłem. Prawdą natomiast jest to, że po powrocie z wojny słynna pielęgniarka spędziła resztę życia przykuta do łóżka. Badacze spierają się do dziś, co było tego przyczyną. Ponieważ nikt nie zdołał wyjaśnić jej dziwnej decyzji, pozwoliłam sobie przedstawić własną interpretację zdarzeń. Prawdą jest również to, że mieszkała w Mayfair, a z okien jej domu roztaczał się widok na Hyde Park. Ponieważ budynek nie przetrwał do dzisiejszych czasów, jego opis jest tworem mojej wyobraźni. Florence Nightingale miała istotny wpływ na politykę i sprawy dworu. Lord Whimbrel i jego synowie są postaciami fikcyjnymi.

ALFABET MORSE'A

A * - T - A * - * - U * * - B - * * * V * * * - C - * - * W * - - C' - * - * * X - * * - D - * * Y - *
- - E * Z - - * * E * * - * * Z' - - * * - * F * * - * Z' - - * * - G - - * 1 * - - - - H * * * * 2 * * - - -
I * * 3 * * * - - J * - - - 4 * * * * - K - * - 5 * * * * * L * - * * 6 - * * * * L * - * * - 7 - - * * * M -
- 8 - - - * * N - * 9 - - - - * N' - - * - 0 - - - - - O - - - , - - * * - - O' - - - * . * - * - * - P * - -
* ? * * - - * * Q - - * - ; - * - * - R * - * : - - - * * S * * * / - * * - * S' * * * - * * * - - * * * -

PRZYPISY

[1] Alfred Tennyson, *Szarża Lekkiej Brygady* w: *Wiersze cytowane*, tłum. Anna Bańkowska, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Warszawa i Instytut Literatury, Warszawa 2020. [2] Słowicze nazwisko pani Nightingale brzmi podobnie jak *Night in gaol* – noc w więzieniu (przyp. tłum.).

ENOOLA HOLMES

NANCY SPRINGER

SPRAWA SZYFRU NA KRYNOLINIE

Gdybym miała córkę, czytałabym jej opanieści o Enoli Holmes od kołyszki!

- JUSTYNA DZBIK-KLUGE -

TOM - 5 -



 Poradnia K